

MARSZ MILCZENIA'44 | FESTIWAL PODWYŻEK DOPIERO SIĘ ZACZYNA | WRZEŚNIOWY BEZRUCH SZKOLNY

nasze czasopismo

Nr 09/2019 • www.naszezasopismo.com.pl

ISSN 2543-7143 • INDEKS 417165 • cena: 5zł (w tym VAT 8%)



MOJE MIEJSCE NA ZIEMI

rozmowa z prezydent Gdańska Aleksandrą Dulciewicz



nasze czasopismo

Szanowni Państwo,

Na początku 2016 roku, w odpowiedzi na otaczającą rzeczywistość i upolitycznienie mediów, powstało „Nasze Czasopismo”. Gazetę współtworzą profesjonalni dziennikarze, eksperci, pasjonaci z różnych dziedzin, a także Wy - nasi Czytelnicy. Mieliśmy wielu znamienitych gości, a tematy gospodarcze, społeczne, kulturalne czy prawne nie są nam obce.



Jesteśmy pismem opiniotwórczym innym niż pozostałe. Promujemy nowoczesne postawy, wolność w życiu społecznym i gospodarczym. Poruszamy tematy nieobecne w mediach głównego nurtu. Publikacje kierujemy do każdego zainteresowanego sprawami wykraczającymi poza własne „cztery ściany”. Do tych, którzy nie chcą żyć według gotowej recepty na życie, przygotowanej przez innych. „Nasze Czasopismo” to miejsce otwarte dla każdego, kto chciałby podzielić się swoimi refleksjami z innymi.

Jako młode wydawnictwo, cały czas się rozwijamy. Oprócz wersji papierowej naszego miesięcznika, dostępnej na terenie całej Polski w salonach Empik i Ruch oraz w dystrybucji bezpośredniej, jesteśmy też obecni online na: www.naszezasopismo.com.pl.

„Nasze Czasopismo” dostępne jest na terenie całej Polski w salonach Empik i na www.empik.pl oraz w dystrybucji bezpośredniej: redakcja@naszezasopismo.com.pl

Prenumerata: redakcja@naszezasopismo.com.pl

Zapraszamy do współpracy. Propozycje tekstów, ale też rysunków czy fotografii można wysyłać na adres: redakcja@naszezasopismo.com.pl.

Wszystkich, którzy wierzą w wizję „Naszego Czasopisma” i chcą pomóc w wydawaniu kolejnych numerów, zapraszamy do wsparcia miesięcznika poprzez darowiznę:

PINIA sp. zo.o.

nr rachunku bankowego: **19 2530 0008 2016 1040 8821 0001** (tytuł wpłaty: darowizna)
lub: <https://rzutka.pl/mx5xm8/wplac>

bądź zamieszczenia reklamy na łamach naszego pisma w wersji papierowej oraz online. Oferta reklamowa jest tworzona indywidualnie. Kontakt: marketing@naszezasopismo.com.pl

Przemysław Wiszniewski
redaktor naczelny



Szanowni Państwo,

kiedy to piszę, zbierane są jeszcze podpisy pod listami poparcia dla kandydatów na posłów do polskiego parlamentu. „Polskiego parlamentu” – jak to dumnie brzmi, choć w ciągu ostatnich niemal czterech lat polski prestiż polskiego parlamentaryzmu został zniweczony przez partię rządzącą, osobiście przez pana Kuchcińskiego, który latał z rodziną wojskowymi samolotami, został pożegnany fanfarami i kwiatami i będzie startował z listy PiS do Sejmu. Prezes Kaczyński chce w ten sposób przetestować, czy ludzie nadal popierają marszałka.

Tymczasem na czele policji stanął pan Kamiński, przestępca ułaskawiony przez pana Dudę, który sam jest przestępcą – konstytucyjnym, w dodatku ułaskawiony z pogwałceniem prawa i logiki. Obywatele RP zostali schwytani przez jego policję, bo nie chcieli dać się wylegitymować za to, że na pikiecie pod komendą publicznie mówią o Kamińskim jako przestępcy. Dzień wcześniej opozycja uliczna usiadła na jezdni, którą w oficjalnej defiladzie przemaszerowali polscy neofaszyści, popierani przez najwyższe czynniki rządowe. Protestujących z ulicy brutalnie ściągnęła policja. Niektórzy policjanci noszą na mundurach faszystowskie emblematy. Pan Duda objął „narodowym” patronatem rocznicę powstania Brygady Świętokrzyskiej NSZ, która kolaborowała z hitlerowcami, mordując pospół Polaków i Żydów.

Arcybiskup Jędraszewski szczuje przeciwko mniejszości LGBT z ambony, czym budzi zgorszenie wiernych, ale i polsk. Bardzo mu schlebia Piotr Duda, szef „Solidarności”. Niektórzy koledzy przyrównują hierarchę do Jezusa Chrystusa. W więzieniu wieszają się podsądni – ostatnio bokser Dawid Kostecki – i nie wiadomo, czy ktoś im w tym nie pomaga, bo są świadkami w aferze, która może pogrążyć polityków PiS. Niestety, pan Ziobro nie zgadza się na ekshumacje i oględziny zwłok, które mogłyby wyjaśnić wątpliwości, choć w latach ubiegłych ciała ofiar katastrofy smoleńskiej regularnie ekshumowano w celach propagandowych i nie było z tym problemu.

Tomasz Piątek, autor książek o powiązaniach Macierewicza i Morawieckiego z rosyjską mafią i kremlowską agenturą, ostrzega: „Niemał wszystko, co nas boli, jest importowane z putinowskiej Rosji. Smóg na niebie? To węgiel, który PiS importuje z Syberii i zagarniętego przez Putina Donbasu. Bojówki biją gejów na ulicach? Zupełnie jak w Rosji. Biskupi popierają bojówkarzy i kampanię nienawiści? Zupełnie jak w Rosji (i przypomnę, że „walka z gender” zaczęła się u nas w 2012 r., gdy abp. Michalik spotkał się z putinowskim patriarchą Moskwy Cyrylem, byłym agentem KGB). PiS podporządkowuje sobie sądy? Zupełnie jak w Rosji. Telewizja wychwala wodza? Zupełnie jak w Rosji. Władza kradnie jawnie i bezczelnie? Zupełnie jak w Rosji. Nasz rząd obraża Europę i Zachód? Tak samo jak rosyjski. Pisowcy napadają na Ukraińców i muzułmanów? Tak samo jak rosyjscy zwolennicy Putina. W rządzie mamy agentów Krem-la? Nic dziwnego, skoro stajemy się kolonią Krem-la.”

Postępuje inflacja, żywność drożeje, a jednak poparcie dla PiS-u nie spada poniżej 40 proc. W takiej atmosferze wkraczamy w intensywny okres kampanii wyborczej. Trzy bloki prodemokratyczne właśnie dogadują się w sprawie walki o polski Senat, by tak przynajmniej zablokować upiorny „proces legislacyjny” PiS-u. Już jednak wiadomo, że z pomocą nie przyjdzie nam obowiązująca metoda d’Hondta, dzięki której procenty w żaden sposób nie przekładają się na liczbę mandatów i promowani są najsilniejsi.

Czy Polacy, którzy od lat marzyli o „rządach silnej ręki”, dadzą PiS-owi porządzić kolejną kadencję, by do reszty – być może nieodwracalnie – zniszczył nam wolność, równość i demokrację, to się wkrótce już okaże.

nasze Czasopismo



rys. Tadeusz Krotoś

nasze Czasopismo

ADRES: www.naszezasopismo.com.pl, redakcja@naszezasopismo.com.pl

REDAKTOR NACZELNY: Przemysław Wiszniewski

REDAKCJA: Dorota Bilewicz-Bandurska

SEKRETARZ REDAKCJI: Sylwia Wiszowata

PROJEKT LOGO I OKŁADKI: Piotr Woźniak

W NUMERZE PISZĄ: Jerzy Cichowicz, Anna Dysińska, Magdalena Kijowska, Mateusz Kijowski, Maria Kławe-Mazurowa, Ewa Krawczyk-Dębiec, Maria Lewandowska, Anna Lewicka, Karolina Romańska, Anna Schwerin, Elżbieta Szymańska, Przemysław Wiszniewski, Włodzimierz Witkowski, Agnieszka Wyczółkowska, Katarzyna Wyszomierska

ZDJĘCIA NA OKŁADCE: Renata Dąbrowska

Jeśli chcą Państwo zgłosić nam ciekawy temat, zauważoną nieprawidłowość lub poruszyć sprawę dotyczącą tego, co jest Państwu bliskie:

redakcja@naszezasopismo.com.pl

Pisząc do nas, mają Państwo prawo do zachowania anonimowości. Materiały niezamówione przez redakcję nie podlegają zwrotowi.

WYDAWCA: PINIA Sp. z o.o.
ul. Chmielna 2/31, 00-020 Warszawa

PINIA

ZARZĄD WYDAWNICTWA:

Ewa Krawczyk-Dębiec (Prezes Zarządu), Anna Lewicka

Darowizny można wpłacać na rachunek nr: 19 2530 0008 2016 1040 8821 0001

REKLAMA: marketing@naszezasopismo.com.pl

DRUK: Foldruk-Folion Sp.j.

Nr 09/2019

TEMAT MIESIĄCA

- 6 Przemysław Wiszniewski: MOJE MIEJSCE NA ZIEMI – rozmowa z prezydent Gdańska Aleksandrą Dulkiewicz
- 10 Maria Lewandowska: POROZUMIENIA SIERPNIOWE – KOPIA I ORYGINAŁ
- 14 Magdalena Kijowska: JACEK ZAJĄŁBY SIĘ PRZYSZŁOŚCIĄ ZIEMI – rozmowa z Danutą Kuroń
- 18 Ewa Krawczyk-Dębiec: HISTORIA ŻYJE W DOMU POWSTAŃCA
- 20 Włodzimierz Witkowski: MOJA ULICA (I WIEŚ) W LATACH OKUPACJI
- 22 Anna Dysińska: MARSZ MILCZENIA'44
- 24 Anna Dysińska: CMENTARZ POWSTAŃCZY NA WOLI – NIECH PRZYCHODZI TU CAŁA WARSZAWA
- 25 Agnieszka Wyczółkowska: PRAWDZIWA HISTORIA KOLUMBA

SPOŁECZEŃSTWO

- 13 Elżbieta Szymańska: ILE OBYWATELA W BUDŻECIE OBYWATELSKIM?
- 30 Karolina Romańska: SŁOWNIK WYRAZÓW TRUDNYCH: LGBTQ
- 32 Agnieszka Wyczółkowska: PIELGRZYMKA – WĘDRÓWKA, KTÓRA PRZYBLIŻA DO ABSOLUTU
- 34 Anna Schwerin: WRZEŚNIOWY BEZRUCH SZKOLNY

EKONOMIA

- 26 Katarzyna Wyszomierska: FESTIWAL PODWYŻEK DOPIERO SIĘ ZACZYNA

HISTORIA

- 28 Maria Kławe-Mazurowa: PRZECIEŻ TO JUŻ BYŁO

FELIETON

- 5 Mateusz Kijowski: PLUSY UJEMNE

KULTURA

- 36 Jerzy Cichowicz: KRWAWA JATKA
- 42 Anna Schwerin: KRYMINAŁ, CZYLI LOGIKA, NAMIĘTNOŚĆ I MUZYKA

TURYSTYKA

- 38 Maria Lewandowska: RECEPTA NA WAKACJE
- 40 Anna Lewicka: KRETA, WYSPA DŁUGOWIECZNOŚCI



MATEUSZ KIJOWSKI

PLUSY UJEMNE

PiS czy Koalicja Obywatelska? Tutaj się rozegra najważniejsza konkurencja w najbliższych wyborach. Do tego będą jeszcze dwa pojedynki na boku. Lewicy z procedurami i PSL z progiem wyborczym. Co będzie wygrał Polski? Polek i Polaków?

Nie mam żadnej wątpliwości, że wygraną będzie rząd bez udziału PiS-u albo faszystów. Jak to osiągnąć? Wybory wygrywa się większością 2-3 procent głosów. Na to nakłada się metoda przeliczania głosów na mandaty opracowana przez Victora d'Hondta. Jeżeli po jednej stronie jest jeden spójny blok, a po drugiej trzy, trzeba więcej głosów, żeby wygrać. Bo większy ma premię za wielkość.

Więcej głosów... ale liczą się tylko te niezmarnowane. Czyli te oddane na ugrupowania, które przekroczą próg wyborczy. Na pana d'Hondta nie mamy już wpływu – bloki wyborcze są określone, a listy podomykane. Czy my, wyborcy, możemy w ogóle mieć wpływ na wynik wyborów?

To my stawiamy znak „x” i wrzucamy głos do urny. Niestety, wielu z nas nie chce głosować. Inni nie są w stanie oddać głosu na kogoś, kto ich do siebie zraził. Co my, obywatele i wyborcy, możemy zrobić, żeby poprawić nasze życie?

Mamy dwie możliwości. Pierwsza, to zrobić wszystko, żeby załapać się na programy socjalne PiS-u. Spłodzić dziecko. 500+. Albo urodzić ciężko chore dziecko. Trumienkowe+. Albo... zostać niepełnosprawnym. Znowu 500+, pod warunkiem, że nie przekroczysz progu dochodowego poniżej minimum przetrwania dla osoby pełnosprawnej. Można jeszcze posłać dziecko do szkoły – 300+ raz do roku, lub zostać emerytem – jednorazowe 880+.

Można też nie wierzyć PiS-owi, że utrzyma te świadczenia i zwrócić uwagę na sprawy zasadnicze, na wartości – i nie głosować na PiS. No to na kogo? Po drugiej stronie mamy trzy bloki i każdy z nich zasługuje na głos. Każdy też deklaruje, że chce odsunąć od władzy obecnie rządzących. Mogliby stworzyć koalicję po wyborach. Pytanie – jak mają się dogadać po wyborach, skoro nie umieją się dogadać przed wyborami? Przecież teraz im bardziej zależy, bo zabiegają o głosy wyborców. Ale to pytanie zostawmy na później.

Czy jednak rzeczywiście zabiegają o głosy? Są tacy, co rzeczywiście zabiegają, ale są i tacy, którzy nie zabiegają o głosy, a jedynie chcą wykazać, że ten drugi jest gorszy, śmieszniejszy, mniej uczciwy, bardziej pazerny... Straszanie czarnym ludem oczywiście ma pewien zasięg. Ale dzisiaj dociera głównie do przekonanych.

Druga koncepcja, to ściganie się, kto da więcej. Czy można się ścigać z populistami, kto będzie bardziej populistyczny? Zwłaszcza w sytuacji, kiedy od zawsze deklarowało się odpowiedzialność gospodarczą... Szóstką nie pokona się piątki. Mówi się, że nie należy dyskutować z idiotą, bo najpierw sprowadzi nas na swój poziom, a później pokona doświadczeniem. Idiotą udowodni bez problemu, że pięć to więcej niż sześć.

Jeżeli obywatel miałby się kierować wypowiedziami polityków, powinien szybko kupić bilet na samolot i wyjechać do Anglii. Oni tam nie wiedzą, co to znaczy wyjść po angielsku i jeszcze pewnie wiele lat będą w Unii.

Można też kierować się doświadczeniem. Przez poprzednie dwie kadencje Polska rozwijała się dynamicznie. Odpowiedzialni za ten rozwój dzisiaj też startują, chociaż nie umieją prowadzić kampanii wyborczej. Ich kompetencje są gdzie indziej.

Jak im pomóc? Po pierwsze, trzeba zadbać, żeby mogli stworzyć większość w parlamencie. Żeby żaden głos oddany po demokratycznej stronie się nie zmarnował. Przepchnijmy wszystkie bloki prodemokratyczne przez próg wyborczy. Chociażby z zagryzionym językiem i zatkanym nosem.

Po drugie, trzeba pomóc im zaangażować licznych wolontariuszy do aktywności w kampanii wyborczej. Sami nie umieją, ale jeżeli będziemy się domagać organizacji i wytycznych do działania, może w końcu usłyszają.

Po trzecie, trzeba im pomóc. Żeby tylko pozwolili... ■



fot. pixabay.com

MOJE MIEJSCE NA ZIEMI

O obronie Westerplatte, walce z oszczerczą propagandą, rządowych prezentach dla narodu na koszt samorządów i o tym, jak pozostać sobą kontynuując dzieło poprzednika

z prezydent Gdańska Aleksandrą Dulkiewicz rozmawia Przemysław Wiszniewski



Aleksandra Dulkiewicz, prezydent Gdańska od marca 2019, fot. Artur Andrzej, źródło: wikipedia.org

Została Pani prezydentem Gdańska w dramatycznych okolicznościach. Czy udaje się Pani prowadzić politykę miejską, kontynuując linię swojego poprzednika?

W poprzedniej kadencji byłam wiceprezydentem, potem szefową sztabu wyborczego Pawła Adamowicza, po wygranych wyborach ponownie zastępcą. Kontynuacja polityki poprzednika to naturalna

droga, bowiem współtworzyłam jego program i w pełni się z nim utożsamiałam. W kampanii wyborczej, po tragicznej śmierci prezydenta Adamowicza, nie kryłam, że chcę kontynuować jego politykę, ale też prosiłam o to, abym mogła być sobą, bo przecież Pawłem Adamowiczem nigdy nie będę, jestem innym człowiekiem. Czas pokaże, na ile prezydenturze nadaję własny ryt. Na co dzień pracuję, nie rozważam tego zagadnienia.

O co chodzi w batalii o Westerplatte? Dlaczego władze krajowe uchwałyły specustawę w tej sprawie i dlaczego Gdańskowi zależy na zachowaniu tego przyczółka?

W batalii o Westerplatte chodzi o zasady. Specustawa jako środek nadzwyczajny nie była konieczna do tego, aby na Westerplatte zbudować muzeum czy przeprowadzić inne zmiany. Miasto



fot. Piotr Olczak

Gdańsk było właścicielem tego terenu. Deklarowałam i deklaruje wolę współpracy, zgłosiłam gotowość przekazania ziemi pod budowę muzeum w zamian za możliwości współdecydowania o kształcie placówki i zawartości wystawy, ale tej propozycji rząd nie przyjął. Dlaczego? Czas pokaże. Tymczasem odpowiedzi, które podpowiada dotychczasowe doświadczenie, jest co najmniej kilka.

Na tym etapie najgroźniejsze jest jednak, w moim przekonaniu, budowanie przez ośrodek władzy centralnej i lokalnych działaczy PiS narracji o Gdańsku, który marzy o powrocie do Niemiec, pielęgnuje mit Wolnego Miasta, realizuje narrację historyczną niezgodną z polską racją stanu... To przemyślana i konsekwentna polityka, bardzo szkodliwa, zarówno dla wspólnoty gdańskiej, jak i polskiej.

Jak Pani radzi sobie z argumentami propagandowymi rządzącej partii, np. z „zazrutowem” o niemieckości Gdańska w kontekście obecnej polityki historycznej, kładącej nacisk na nacjonalizm?

Jako gdańszczanka, która tutaj przyszła na świat w rodzinie przychodźców, bo po II wojnie światowej dziadkowie przy-

byli do Gdańska i tutaj założyli dom, czuję głęboką tożsamość gdańską i polską jednocześnie. Żadna akcja propagandowa tego nie zmieni. To jest moje miejsce na ziemi, kocham moje miasto, znam jego historię. Dumna jestem z gdańskich pocztowców i westerplatczyków, którzy walczyli do krwi ostatniej za polskość tej ziemi, ze stoczniovców, którzy przelali krew za wolność w czasach komunizmu, z Solidarności, która tu się narodziła, a dziś zawdzięczamy jej największą polską bezkrwawą rewolucję, której wartość honorowana jest na całym świecie. Opowieść o niemieckości współczesnego Gdańska jest dla mnie tak samo prawdziwa jak twierdzenie, że Aborygeni dopominają się zwrotu swoich wódzów pochowanych na Wawelu.

Wiem jednak, że po wielokroć powtarzane kłamstwo sieje zamęt w umysłach ludzi mniej zakorzenionych, niechających krytycznie przyglądać się zastyszonym opiniom, ulegającym wpływow.

W biblijnym sensie „prawda obroni się sama”, ale w czasach trolli, fake newsów i polityki rządzących obliczonej na doraźny sukces trzeba jej pomagać. Na kłamstwo można odpowiadać tylko

prawdą – robić swoje, codziennym świadectwem dowodzić, kim jesteśmy i dokąd zmierzamy.

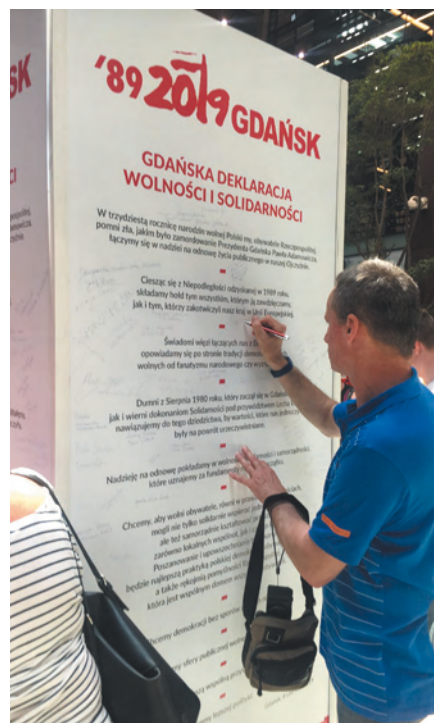
Jak miasto radzi sobie z deformą i chaosem szkolnictwa?

Słowa „chaos” w Gdańsku nie używamy. Misją samorządu jest, aby działać jak poduszka powietrzna chroniąca przed skutkami zderzenia z przeszkodą. Rząd zafundował nam kraksę, ale zrobiliśmy wszystko, aby zminimalizować jej skutki.

Wielkim poświęceniem dyrektorów szkół, nauczycieli i miejskich urzędników zminimalizowaliśmy skutki deformy. Wiem, że nie obyło się bez wielkiego stresu dla uczniów, ich rodziców i wszystkich, którym leżą na sercu sprawy edukacji. Czekają nas jeszcze wiele poświęceń, jak liczne klasy czy dwuzmianowość. Ile w ludzkiej sile, tyle wspomozemy.

4 czerwca podczas obchodów rocznicowych odczytała Pani Gdańską Deklarację Wolności i Solidarności. Jak ta deklaracja samorządowców będzie się przekładać na konkrety podczas kampanii wyborczej?

4 czerwca w samo południe, pod pomnikiem Poległych Stoczniovców 1970, ►



fot. Dorota Bilewicz-Bandurska



fot. Piotr Olczak

► odczytaliśmy *Gdańską Deklarację Wolności i Solidarności*. Ten dokument jest wyrazem marzeń nas, gdańszczanek i gdańszczan, co do kształtu naszej ojczyzny. Dokument dotąd podpisało niemal 10,7 tysiąca osób i wciąż online podpisują się kolejne (<https://www.gdansk.pl/deklaracja-wolnosci-i-solidarnosci>). Opowiedzieliśmy się po stronie „tradycji demokratycznych, wolnych od fanatyzmu narodowego czy wyznaniowego”. Nadzieję na odnowę upatrujemy „w wolności, solidarności i samorządności”. Mocno zaakcentowaliśmy, że: „Chcemy demokracji bez sporów pełnych nienawiści. Chcemy sfery publicznej wolnej od kłamstwa. Chcemy budować naszą wspólną przyszłość w duchu dialogu. Chcemy lepszej polityki”. Taka Polska nam się marzy.

Drugi dokument – „21 tez samorządowych”, które również zaprezentowaliśmy

podczas Święta Wolności i Solidarności w Gdańsku, to inicjatywa samorządowców z całej Polski. Toczmy debatę, jak chcemy realizować misję samorządową, asno odwołujemy się do aktywnych obywateli i organizacji samorządowych, dyskutujemy propozycje, które chcemy przedstawić rządowi. Z tego wyłonią się postulaty, które będziemy chcieli realizować.

W jakim kształcie postulaty samorządowców zostaną uwzględnione w kampanii wyborczej, a potem w inicjatywach ustawodawczych, pokaże czas i rozkład sił.

Dlaczego ustawa podatkowa, którą przeforsował PiS, uderzy w budżety miejskie? Jaki mechanizm został wykorzystany przez ustawodawcę i w jakim celu?

Rząd daje, samorządy płacą. Za hojność władzy centralnej zapłacą obywatele tam, gdzie mieszkają, choć dziś nie wszy-

scy zdają sobie z tego sprawę. Szacujemy, że do budżetu Gdańska w przyszłym roku wpłynie prawie 120 mln złotych mniej, na skutek zniesienia PIT do 26. roku życia w pierwszym progu podatkowym, obniżenia stawki z 18 proc. do 17 proc. i podwojenia kosztów uzyskania przychodu. Miliardowe straty w skali całego kraju odbiją się na mieszkańcach, innej możliwości nie ma, bo ekonomia to nie czary. Nie zbudujemy drogi, nie wyremontujemy szkół, nie powstaną baseny, może autobusy będą jeździć rzadziej... Pracujemy właśnie nad głęboką korektą budżetu miasta na przyszły rok. Nie ma takiej sfery, której nie dotknie redukcja kosztów.

Obawiam się, że gra idzie nie tylko o przyszłość samorządów, ale i niewyrażoną wprost, ale realizowaną konsekwentnie wizję państwa sterowanego z Warszawy. Taki PRL bis.

Czy miasto uzyskuje polityczne wsparcie od prezydenta Wałęsy? Czy Europejskie Centrum Solidarności nadal jest zagrożone przejęciem przez obecną władzę związkowe?

Lech Wałęsa to nasz skarb narodowy, a więc i skarb Gdańska. Nie mam jako prezydent miasta wobec pana prezydenta Wałęsy żadnych oczekiwań; sam fakt, że jest, mieszka i pracuje w Gdańsku, jest dla nas powodem do radości. Co do Europejskiego Centrum Solidarności... ECS zostało powołane z inicjatywy prezydenta Pawła Adamowicza, ale ma pięciu założycieli. Statut nie pozwala, aby ktokolwiek „przejąć” ECS. I daleka jestem od takiego stawiania sprawy. ECS opowiada i pielęgnuje historię Solidarności, wspiera tych, którzy dziś – posługując się tą ideą – dążą do wolności, nie tylko uczy młodych praktycznie wdrażać tę ideę... Powinno być nam po ludzku wstyd, że wartość, jaką jest solidarność, nie łączy nas, tylko dzieli. Nadziei jednak tracić nie można. Ja nie tracę.

W jaki sposób Gdańsk będzie obchodził rocznicę wybuchu wojny w związku z planami przeniesienia obchodów do stolicy?

Tradycyjnie spotkamy się na Westerplatte o godzinie 4.45. W samo południe, również tradycyjnie, zostanie odpra-

wiona msza pod pomnikiem Obrońców Poczty Polskiej w Gdańsku. Wieczorem Polska Filharmonia Bałtycka zaprasza na koncert „Wojna i Pokój”. Wiele wydarzeń realizują również inni organizatorzy, jak choćby Fundacja Pojednanie, która z Polakami, Niemcami i przedstawicielami społeczności żydowskiej głośno będzie apelować o pojednanie i pokój jako sposób na wspólne życie bez wojny.

Dla mnie najistotniejsze jest, abyśmy w gdańskiej wspólnocie godnie przeżyli ten czas – oddając honor ofiarom wojny i patrząc w przyszłość. Pokój to bardzo kruchy dar, w Gdańsku doskonale wiemy, jak niewiele trzeba, aby rozgorzała dziewkowa zawierucha. A my chcemy pokoju!

Czy fakt, że Magdalena Adamowicz, wdowa po zamordowanym prezydencie, została europosłanką, można wykorzystać dla dobra miasta, np. w kwestiach inwestycyjnych?

Dajmy szansę Magdalenie Adamowicz rozpocząć pracę w Brukseli. Każdy emigrant swojej małej ojczyzny to potencjalne korzyści. A Gdańsk ma bardzo dobrą markę.

Pani reprezentuje młode pokolenie. Czy uzyskuje Pani wsparcie ze strony mło-

dych mieszkańców, czy też musi Pani o nich zabiegać? Czy młodzi gdańszczanie angażują się obywatelsko?

Mówiąc szczerze, każda mieszkanka i mieszkaniec, niezależnie od metryki, stażu w Gdańsku, pochodzenia, wyznania czy preferencji politycznych, jest dla mnie tak samo ważny. Na co dzień doświadczam życzliwości, na przykład na ulicy w drodze do pracy, również od młodych ludzi.

Bardzo zależy mi na wyborczej aktywizacji młodych, na kształtowaniu postaw obywatelskich, wiele w tej materii dzieje się za sprawą organizacji pozarządowych i miejskich placówek kultury. Wierzę w młodych.

Czy uda nam się pokonać populizm w jesiennych wyborach? Jeśli nie, to jaki scenariusz widzi Pani dla swojego miasta?

Nie ma szczepionki na populizm, niestety. Niezależnie od jesiennych rozstrzygnięć świat się nie skończy. Wynik demokratycznych wyborów trzeba szanować. Nadal będziemy pracować dla Gdańska i robić wszystko, żebyśmy w tej naszej miejskiej wspólnocie żyli w zgodzie, wzajemnie się szanowali i wspierali. ■



fot. Piotr Woźniak

POROZUMIENIA SIERPNIOWE – KOPIA I ORYGINAŁ

Są symbolem, pierwszym zwycięstwem na polskiej drodze do wolności od komunizmu, tylko, że... ich nie ma. To znaczy – nie ma oryginałów porozumień gdańskich, tych ze Szczecina i Jastrzębia zresztą też.

Przetrwały tylko kopie.

Maria Lewandowska



fot. Maria Lewandowska

Zawarte przez rząd porozumienia kończące sierpniowe strajki w 1980 r. były cztery. Dwa podpisano już we wrześniu – 3.09. w Jastrzębiu-Zdroju i 11.09. w Dąbrowie Górniczej. Niemal dwa tygodnie wcześniej, bo 30 sierpnia, pierwsze porozumienie kończące strajk w Szczecinie podpisali wicepremier Kazimierz Barcikowski i Ma-

rian Jurczyk, reprezentujący Międzyzakładowy Komitet Strajkowy. Symbolem stało się to podpisane dzień później w Gdańsku przez Lecha Wałęsę charakterystycznym gigantycznym długopisem. Stronę rządową reprezentował wicepremier Mieczysław Jagielski. Zdjęcia z hali BHP, gdzie podpisywano dokumenty, obiegły cały świat i wówczas oryginały porozumienia

publicznie były widziane po raz pierwszy i... ostatni.

Pierwszy krok do wolności

Treść gdańskiego porozumienia ukonstytuowała de facto rozpoczęcie drogi przemian ustrojowych w Polsce. W jego pierwszym punkcie zapisano, że dzia-

talność ówczesnie działających pod egidą państwa związków zawodowych nie spełnia nadziei i oczekiwań pracowników. Dlatego uznano za celowe powołanie nowych samorządnych związków zawodowych, które byłyby autentycznym reprezentantem pracowników. To był prawdziwy przełom. Tworzenia nowych, niezależnych od władzy związków zawodowych nie gwarantowało porozumienie zawarte w Szczecinie.

Gdański Międzyzakładowy Komitet Strajkowy przekształcił się w komitet założycielski nowych związków. Nieco ponad dwa miesiące później, 10 listopada 1980 r., Sąd Wojewódzki w Warszawie zarejestrował NSZZ „Solidarność” – pierwszą w dziejach krajów bloku wschodniego niezależną od władz legalną organizację, która wkrótce liczyła 10 milionów członków. Miała własne wydawnictwa, a władze zobowiązały się, że będą uwzględniały jej opinie w sprawach najważniejszych decyzji społeczno-gospodarczych. Na tym faktycznie polegało największe zwycięstwo sierpniowych strajków.

W porozumieniu gdańskim władze uznały także prawo do strajków oraz bezwarunkowo zagwarantowały uczestnikom strajku sierpniowego, że nie będą represjonowani. Rząd miał zmodyfikować ustawę o cenzurze i zagwarantował niedzielne transmisje mszy świętej w Polskim Radiu. Ponadto do pracy mieli zostać przywrócić robotnicy zwolnieni po strajkach w 1970 i 1976 roku oraz wyrażono zgodę na budowę pomnika upamiętniającego ofiary Grudnia 1970 roku. To był jedyny „polityczny” postulat wśród tych, od których rozpoczął się strajk w Stoczni Gdańskiej 14 sierpnia 1980 r. Robotnicy przystąpili do niego pod hasłami przywrócenia do pracy Anny Walentynowicz i Lecha Wałęsy, podwyżki płac i wprowadzenia dodatku drożyznianego. Jednak w ciągu 17 strajkowych dni nastąpiła radykalna przemiana. Do robotników stoczni dołączyli działacze opozycji antykomunistycznej.

Pamięć świata

17 sierpnia ogłoszono 21 postulatów Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego. Ostatecznie zrehabilitował je Bogdan



Europejskie Centrum Solidarności, fot. Andrzej Wierzbą

Borusewicz, a na tablicach spisali Arkadiusz Rybicki i Maciej Grzywaczewski. Tablice wisały na portierni przy bramie nr 2 Stoczni. I przetrwały. Związek przekazał je do Centralnego Muzeum Morskiego, które w pierwszą rocznicę strajku urządziło poświęconą mu wystawę. Co ważniejsze, pracownicy Muzeum zrobili także kopie tablic. Przydały się po wprowadzeniu stanu wojennego, kiedy władze zarekwirowały eksponaty z wystawy. Zabrano jednak kopie tablic, bo oryginały pracownicy muzeum ukryli. Wiesław Urbański przechowywał je później w swoim domu aż do 1989 r.

Tablice z postulatami sierpniowymi w 2003 r. zostały wpisane na Listę Dziedzictwa Kulturowego UNESCO obok rękopisów Fryderyka Chopina czy dzieła Mikołaja Kopernika. Tablice uznane zostały bowiem przez Międzynarodowy Komitet Doradczy Programu UNESCO Pamięć Świata za „jeden z najważniejszych dokumentów XX wieku, świadectwo wydarzeń mających przełomowy wpływ na zmiany polityczne, ustrojowe i gospodarcze państw bloku socjalistycznego, których kolebką jest Stocznia Gdańska”. Oryginalne tablice znajdują się w stałej ekspozycji Europejskiego Centrum Solidarności.

Fachowcy Komitetu pamięć Świata chcieli, by na liście UNESCO znalazło się

porozumienie gdańskie, które w istocie było punktem zwrotnym w odzyskiwaniu wolności przez kraje bloku wschodniego. Jednak UNESCO na listę wpisuje wyłącznie oryginalne dokumenty. Przez trzy lata bezskutecznie szukał oryginałów porozumienia Marek Konopka, członek polskiego Komitetu Pamięci Świata.

Trzy wersje i tajemnica

Kolejną próbę poszukiwań podjęła Fundacja Centrum Solidarności kiedy zbliżała się 20. rocznica strajków. Wówczas paulini z Jasnej Góry zgodzili się wypożyczyć na wystawę oryginalny, znany powszechnie wielki długopis, którym Lech Wałęsa podpisywał porozumienie. Obecnie na wystawie w ECS jest jego replika. Paulini pamiątki z czasu strajków oraz medal Nagrody Nobla otrzymali w 1983 r. od Lecha Wałęsy z zastrzeżeniem, że mają ich nie wydawać nikomu, nawet jemu samemu. Wałęsa bał się, by nie wpadły w ręce komunistów. – Myślę, że paulini tych porozumień nie mają – mówił w rozmowie z tygodnikiem „Polityka” Jerzy Borowczak.

Później dziennikarskie śledztwo w sprawie oryginałów porozumień gdańskich przeprowadził Krzysztof Brożek. Jego film „Gdzie jest porozumienie gdańskie” nie przyniósł odpowiedzi na to pytanie, a sam autor w rozmowie radiowej przyznał ►



Brama nr 2 Stoczni Gdańskiej przed budynkiem muzeum, fot. Andrzej Wierzb

► „nie wiem”. W filmie minuta po minucie starał się zrekonstruować, co działo się z porozumieniem po jego podpisaniu. – Ja się nie interesowałem takimi technicznymi sprawami – mówi Lech Wałęsa. Frywolnie potwierdza wersję, że mógł je włożyć do kieszeni i... żona wyprała. Serio jednak pamięta, że dokument oddał Bogdanowi Lisowi. Ten zaś podaje dwie nie współgrające ze sobą wersje. Zgadza się w nich to, że kopiował porozumienie razem z Aliną Pieńkowską. Jednak już gdzie: czy na zapleczu sali BHP, czy w drukarni stoczniowej, nie wiadomo.

Nie wiadomo też, co stało się później. Lis twierdzi, że zostało schowane w prywatnym mieszkaniu niedaleko stoczni. Współgra to ze słowami Bogdana Borusewicza, który mówi w filmie Brożka „Wiedziałem, że porozumienie to glejt bezpieczeństwa, dlatego dałem je Alinie i poprosiłem, by natychmiast wyniosła z sali BHP.” Według jego słów, Pieńkowska ukryła dokument w mieszkaniu matki swojej koleżanki, która mieszkała nieopodal stoczni. Danuta Kobzdej, która szefowała wystawie „Drogi Wolności” w ramach Fundacji Centrum Solidarności pamięta, że po otwarciu wystawy pewien mężczyzna, który przedstawił się jako mąż koleżanki Aliny Pieńkowskiej opowiedział, że Pieńkowska ukryła oryginał porozumień u matki jego wówczas narzeczonej. Tak dokument przetrwał do stanu wojennego, a kiedy na ulicach

pojawily się czołgi, starsza pani wszystkie solidarnościowe materiały spaliła w piecu. Tę wersję potwierdza też Bogdan Borusewicz.

Inną przedstawia Andrzej Kołodziej – ówczesny wiceszef MKS. Jego zdaniem, dokument nie został ze stoczni wyniesiony, a wywieziony. To z kolei potwierdzają krótkofalowcy, którzy wówczas prowadzili nasłuch milicyjnych częstotliwości. Jednak co stało się z wywiezionym dokumentem? Nie wiadomo. Bez wątpienia od sierpnia 1980 r. nikt go nie widział, a przynajmniej się do tego nie przyznaje. Może poza Zenonem Kwoką, niegdyś bliskim współpracownikiem Wałęsy, który w filmie Brożka mówi: „wiem, gdzie jest oryginał, ale nie mogę powiedzieć” i dalej „jest znakiem czasu, że oryginału porozumienia nie ma, bo idee sierpnia są w społeczeństwie nieobecne”.

Słowa nie ulotne

Spalone, wyprane, wywiezione czy schowane? Nie odnaleziono także oryginału porozumienia gdańskiego, które zabrał ze sobą wicepremier Jagielski. W 2010 r. IPN wydał album na temat Sierpnia 80. Jego autorzy znaleźli kopie porozumień gdańskich w zasobach IPN w Warszawie i na tym poprzestali. Kopia pochodziła z Biura współpracy ze związkami zawodowymi dawnego Urzędu Rady Ministrów. Sam Mieczysław Jagielski pamiętał tylko,

że oryginał dokumentu przekazał komuś z PZPR. W tym, co zostało po partyjnych archiwach, także go jednak nie ma.

W filmie Brożka Grażyna Rybicka-Grzywaczewska z Ruchu Młodej Polski, jedna z uczestniczek strajku w stoczni, która była świadkiem podpisywania porozumienia i późniejszą sekretarką Lecha Wałęsy, przyznaje: „Nie wiem, czy przykładaliśmy odpowiednią wagę do tego dokumentu”.

Zapisy porozumień gdańskiego i szczecińskiego znamy z kopii, która znajduje się w archiwum akt nowych. W porozumieniu są zapisy m.in. o tym, że najniższe renty i emerytury zostaną podniesione do poziomu co najmniej minimum socjalnego, że o obsadzie stanowisk kierowniczych decydowały będą kompetencje, a nie partyjna przynależność, uzgodniono poprawę lecznictwa w Polsce i zaopatrzenia w leki, a także utrzymanie bezpłatnych medykamentów dla emerytów, rencistów wojskowych i kolejarzy, przyjęto konieczność zahamowania wzrostu cen, rząd zobowiązał się znaleźć rozwiązanie, by okres oczekiwania na mieszkanie trwał nie dłużej niż pięć lat. W ciągu 39 lat, jakie minęły od podpisania porozumienia, zmienił się ustrój, zmarli świadkowie, którzy widzieli oryginały porozumienia po 31 sierpnia – Alina Pieńkowska i Mieczysław Jagielski. Słowa i pamięć o wielkim karnawale wolności i solidarności na szczęście przetrwały. ■

ILE OBYWATELA W BUDŻECIE OBYWATELSKIM?

Budżet obywatelski to możliwość decydowania przez mieszkańców, na co zostanie przeznaczona pewna część środków z budżetu miasta lub gminy. W Warszawie w 2019 r. mieli do dyspozycji ponad 64 mln złotych. To kwota, dzięki której warszawiacy mogli zmieniać swoje otoczenie.

*Elżbieta Szymańska**

Kiedy w 2014 r. władze Warszawy ogłosili wdrożenie budżetu obywatelskiego, zwanego pierwotnie partycypacyjnym, mieszkańcy zgłosili ponad 2200 projektów, a w wyborze tych do realizacji uczestniczyło 167 tys. warszawiaków. Co się wydarzyło przez cztery lata, że w 2018 r. głosowało już tylko 89 tys. spośród 1,8 mln mieszkańców? Trwająca w Warszawie dyskusja o spadającym zainteresowaniu budżetem obywatelskim odnosi się do konkretnych danych. Według Raportów Ewaluacji Budżetu Obywatelskiego dla Warszawy, odnotowano mniej składanych projektów (2782 w 2017 roku i 2400 w 2018 roku) oraz spadek liczby głosujących (ponad 172.000 w 2016 i 89.000 w 2018 roku).

Nie poinformowani, mniej zaangażowani

Moi sąsiedzi i znajomi lubią swoje osiedla, powstające na nich place zabaw, siłownie plenerowe, kino letnie w parku, nowe trasy rowerowe, możliwość wypożyczenia z biblioteki publicznej jednej z setek nowych książek. Ważne jest dla nich, jak wygląda okolica osiedla i poprawiający się komfort życia. Niewielu z nich jednak wie, że te i wiele innych rzeczy powstało dzięki projektom z budżetu obywatelskiego. Nie wiedzieli, że poświęcenie kilku minut na głosowanie może spowodować, że będzie wyremontowany chodnik, zorganizowane zajęcia dodatkowe dla dzieci lub babci, możliwość oglądania gwiazd przez lunetę czy nowy skatepark. Dlaczego? Nie byli zaangażowani, bo nie byli poinformowani. Informacje o budżecie płynące z Urzędu Miasta wydają się niewystarczające, by upowszechniać ideę obywatelskiej aktywności, pokazywać korzyści dla mieszkańców, podkreślać rolę tych, którzy wzięli udział w konkretnej edycji budżetu obywatelskiego.

Informacja znajdzie obywatela

Informacja o budżecie powinna być wyrazista, jasna, precyzyjna, zrozumiała i, co chyba najważniejsze, dostępna w różnych środkach przekazu. Co najmniej tyle samodzielnym mieszkańcom korzysta z mediów społecznościowych, co z komunikacji miejskiej. Mieszkańcy są zainteresowani budżetem i projektami. Chcą poznać projekty, pomysły, koncepcje dotyczące ich osiedla, całej dzielnicy, z podziałem na ich rodzaj (mała architektura, zdrowie, kultura). I będą jeszcze bardziej zainteresowani, jeśli dostęp do informacji będzie łatwy, a przekaz czytelny i zrozumiały.



fol. Elżbieta Szymańska

Jeszcze lepiej jest, gdy informacja znajdzie obywatela. Właściwa komunikacja i angażujący przekaz wywołują przychylne zainteresowanie i wzbudzą chęć dokładniejszego poznania idei budżetu i samych projektów. Skutecznie udostępniana informacja o zrealizowanych projektach nie tylko zwiększy wiedzę o skali realizowanych inwestycji, ale przede wszystkim o wpływie mieszkańców na ich otoczenie.

Brakuje mi również rzetelnej informacji o projektach niezrealizowanych. Projekty, według uchwały, powinny być zrealizowane w ciągu roku. Jednak nie zawsze są i to nie ze złej woli urzędników. Czasami procedury trwają zbyt długo, a czasem po prostu brak ofert wykonawców. Autorzy projektów tego nie wiedzą, a powinni. Wyjaśnienie sytuacji w postępie prac ułatwi zrozumienie pracy urzędników i funkcjonowania samorządu. Urzędy uniknęłyby również zarzutów o łamanie zasad budżetu.

Mieszkańcy chcą brać aktywny udział w kształtowaniu swoich „małych ojczyzn” lepszymi, ciekawszymi i bardziej przyjaznymi. Wiedzą, czego potrzebują dla siebie i swojej okolicy. Dużą niefrasobliwością byłoby zaprzepaszczenie tej szansy współpracy urzędu z mieszkańcami i uczenia się od siebie nawzajem, jaką daje idea budżetu obywatelskiego. ■

*Autorka tekstu jest członkinią Rady ds. Budżetu Obywatelskiego w Warszawie, jak również autorką kilkunastu projektów.

JACEK ZAJĄŁBY SIĘ PRZYSZŁOŚCIĄ ZIEMI

O tym, że to dzieci wiedzą, jak walczyć z katastrofą klimatyczną, polskich długach wobec Ukrainy i nieustających zakusach na Puszcę Białowieską

z Danutą Kuroń rozmawia Magdalena Kijowska



fot. Przemysław Wiszniewski

W czerwcu minęło 15 lat od śmierci Jacka Kuronia, którego nam wszystkim bardzo brakuje. Co on by myślał o dzisiejszych czasach?

Myślę, że byłby bardzo bliski temu, co mówi Młodzieżowy Strajk Klimatyczny. Trzeba opisać rzeczywistość i od tego, jak się ją opisze, zależy cała reszta. Jacek powiedziałby dokładnie to samo, co mówią uczniowie z MSK.

On by się skupił na klimacie?!

Oni nie mówią tylko o klimacie! Mówią, że obecna gospodarka doprowadziła do tego, że perspektywa ich życia została skrócona do mniej więcej 30 lat. Dorostym jest wszystko jedno, bo już tyle nie pożyją, natomiast oni będą musieli żyć w świecie zniszczonym przez ten model gospodarczy. I że oni żądają od ludzi władzy, żeby natychmiast zmienili model gospodarczy. Żeby zatrzymać

niszczenie świata, przyrody, powietrza, wody...

A co trzeba zrobić w Polsce? Wprowadzić energetykę odnawialną?

Trzeba podjąć decyzję polityczną. Wtedy wszyscy będą wiedzieli, co dalej robić. Natychmiast przechodzić na energię ze źródeł odnawialnych, o czym się mówi od lat. Nie dotować korporacji,

tylko przerzucić te pieniądze na gospodarkę społeczną, którą zresztą zarówno my mamy w konstytucji, jak i Unia Europejska w Traktacie Lizbońskim... Nie mamy tam kapitalizmu, czego nikt nie zauważa.

To, o czym mówisz, jest szokujące.

To jest nieprzestrzeganie prawa, łamiemy konstytucję, konkretnie artykuł 20. Państwa Unii też łamią wspólną konstytucję, ponieważ w Traktacie Lizbońskim jest wyraźnie powiedziane, że w Unii obowiązuje model społecznej gospodarki rynkowej (Art. 3 TUE stanowi, że Unia „działa na rzecz trwałego rozwoju Europy, którego podstawą jest zrównoważony wzrost gospodarczy oraz stabilność cen, społeczna gospodarka rynkowa o wysokiej konkurencyjności zmierzająca do pełnego zatrudnienia i postępu społecznego” - red.)

Co to znaczy dziś, w roku 2019?

To jest kwestia decyzji, że siadamy i się nad tym zastanawiamy. To nie potrwałoby nawet długo, ekonomiści szybko by sobie poradzili. Teraz mamy nie tylko gospodarkę kapitalistyczną, ale turbo kapitalistyczną! Do tej pory mówiło się, że to jest „rozwój”. A to nie jest rozwój, tylko niszczenie życia. I przeciwko temu zaprotestowała ta 15-letnia Szwedka, Greta Thunberg, wyprowadzając na ulice uczniów w stu kilkudziesięciu państwach... Za nimi muszą wyjść ich rodzice, dziadkowie, rodzeństwo, kuzyni... Jacek by się zajmował organizowaniem polityki, którą prowadzą ci uczniowie, ponieważ uznaliby to za bardzo rozsądnie i sensownie pomyślane.

Na razie jest wiele rzeczy nierozsądnych, bo np. w naukowym świecie panuje konsensus, że nie da się zahamować katastrofy energetycznej bez energii jądrowej, a opór społeczny jest bardzo duży. Nie będzie można respektować limitów emisji CO2 bez tej energetyki... Polityczna sytuacja jest patowa.

Ludzie w swej masie postępują – delikatnie mówiąc – nierozsądnie. Niszczą swoje życie i, co gorsze, swoich dzieci. Jak słucham moich wnuków, którzy są w tym



fol. Przemysław Wiszniewski

strajku, o czym rozmawiają... Dlaczego akurat ta grupa wiekowa okazała się mądrzejsza od innych? Dlatego, że oni są nastawieni na naukę. Nie oglądają telewizji, nie czytają pism opiniotwórczych o tym, „kto kogo i czyja partia na wierzchu. Oni się tym w ogóle nie zajmują. W szkołach uczą ich analizy tekstów, więc potrafią odróżnić bzdury od rozsądnych tekstów, które mają oparcie w nauce. I patrząc na to, co teraz dzieje się z klimatem, zdają sobie sprawę, co może być za 10 lat.

Ale ta młodzież tylko straszy, a nic nie proponuje...

Nie, ich żądanie jest bardzo wyraźne. Ci, którzy trzymają władzę, mają podjąć decyzję, że zmieniają gospodarkę. Co oni mogą więcej zrobić? Przecież nie mają nawet 18 lat! I to jest bardzo poprawne myślenie. Dopóki nie ma decyzji politycznej, żadni naukowcy i specjaliści nic nie pomogą.

Teraz sytuacja jest o tyle paradoksalna, że młodzi ludzie pokazują nam, co trzeba zmienić, a dorośli zachowują się jak dzieci i zwołują sobie kolejne konferencje, z których nic nie wynika... Może trzeba poczekać, aż ci młodzi będą dorośli i zaczną sami podejmować decyzje?

Zobaczmy. To jest początek tego ruchu i nie wiemy, co się dalej wydarzy. Sensowny kierunek obrał on w momencie wystąpienia Greta Thunberg, czyli przed

rokiem. Bo najpierw ona powiedziała: „nie będę chodzić do szkoły”, siadła i strajkowała pod parlamentem, potem stopniowo za nią młodzież ze stu kilkudziesięciu krajów.

Ale to samo, co Greta dzisiaj, naukowcy mówią od dawna i nikt ich nie słucha.

W ten sposób sprawa postawiona jest po raz pierwszy. Tego nie mówią specjaliści, ludzie nauki czy politycy. To mówią nasze dzieci lub, jak w moim wypadku, wnuki. Jak ci dziecko albo wnuk mówi: „Mamo, babciu, ja bym chciał żyć! Ja bym chciała urodzić dzieci, a już wiem, że nie urodzę”, bo nikt rozsądny nie będzie rodził dzieci w świecie, który za 30 lat będzie klimatycznym piekłem, to to troszkę inaczej brzmi. Jeżeli tego nie odrzucimy, nie zatkamy sobie uszu i oczu i usłyszymy, co te dzieci do nas mówią, wszystko wygląda inaczej.

Proponujesz uniwersalną perspektywę, ale wróćmy do polskiego piekielka i do stosunków polsko-ukraińskich. Byłaś ostatnio na Ukrainie.

Byłam we Lwowie, bo była 15. rocznica śmierci Jacka i jego lwowscy przyjaciele zorganizowali spotkanie z tej okazji (Jacek Kuroń urodził się i do 1945 r. mieszkał we Lwowie – red.).

Stosunki polsko-ukraińskie uległy, delikatnie mówiąc, silnej erozji... ▶

► Dlaczego Jackowi Kuronowi wydawały się tak bardzo ważne?

Z powodów moralnych i politycznych, ale myślę, że przede wszystkim moralnych. Tworzyliśmy kiedyś wspólny organizm państwowy. I na początku XX w., kiedy zaczynała się budować świadomość narodowa i kształtowały się idee państw narodowych, to żeśmy to uniemożliwili Ukraińcom, podzieliwszy się ich ziemiami ze Związkiem Radzieckim, więc to są takie długie...

W II Rzeczypospolitej prowadziliśmy politykę asymilacyjną. Obiecywaliśmy Ukraińcom, że powstanie Uniwersytet Ukraiński we Lwowie, bo trzeba pamiętać, że 1/3 ludności w II RP to były mniejszości narodowe. Ukraińcy się buntowali, narastała wrogość i od czasu do czasu wybuchało to po obu stronach mniejszymi i większymi zbrodniami. Gdzieś ten duch polskiego nacjonalizmu – bo rozmawiamy o sobie, prawda? – jest wiecznie żywy, ostatnio coraz bardziej.

Powiedziałas „po obu stronach”, ale była też trzecia strona. Grzegorz Gauden napisał książkę o pogromie we Lwowie i to był pogrom dokonany przez Polaków na Żydach.

Trzecia strona to tak naprawdę Związek Radziecki i Rosja, która z państwowością ukraińską nie pogodziła się i nie pogodzi, bo wtedy musiałaby zmienić historię swojego państwa, zbudowaną na historii narodu ukraińskiego, więc to komplikuje Rosjanom ich historię i mocarstwowość. Książka Gaudena jest wstrząsająca, bo pokazuje, że powstałe w tym czasie Wojsko Polskie uważało za normalne, iż wchodząc do miasta robi się pogrom, kradnie, dewastuje i zabija ludność żydowską, co było obyczajem najeźdźców w minionych wiekach. Oddziały wojskowe były różne, nie wszyscy tak się zachowywali, ale panowie ułani przeważnie zachowywali się właśnie tak. To jest ta pogarda dla drugiego człowieka.

Trwa kampania dotycząca Wirtualnego Muzeum Historii Żydów w Białowieży. Wiesz coś tym?

Muzeum stworzyła Kasia Winiarska przy finansowym wsparciu Ministra Kultury i Fundacji Edukacyjnej Jacka Kuronia. O Żydach białowieskich nie było wiadomo nic. Nie istnieli np. w Yad Vashem. Kasia przekopała pół świata i zachęcam do wejścia na stronę tego muzeum. To jest społeczna praca pojedynczej osoby. Udało się odnaleźć ok. 400 nazwisk Żydów białowieskich, odtworzono przedwojenny plan Białowieży, każdego domu, każdego sklepu. I przewodnicy białowiescy już oprowadzają turystów po żydowskiej Białowieży.

A obecni mieszkańcy są z tego zadowoleni?

To wszystko jest możliwe dzięki mieszkańcom, którzy podzielili się swoimi wspomnieniami i to były pierwsze tropy. Potem, gdy to Muzeum już zaistniało, znalazł się ocalony, David Waldshan, który jako 10-letni chłopiec został wywieziony do getta w Prużanie, potem przeszedł m.in. przez Oświęcim i selekcję w kilku obozach. To się dzieciom nie zdarzało, ale on był dosyć wysoki i miał płaszcz dorosłego człowieka, więc mu się udało. Mieszka w Detroit. Kasia go odnalazła i nagrała jego relację, która też została wysłana do Yad Vashem. Rodziny Żydów białowieskich, którzy wyjechali przed wrześniem 1939 r. z Białowieży, odnalazły się przy pomocy tego muzeum.

Co dzieje się teraz w Puszczy Białowiejskiej? Trwa wycinka?

Mnie najbardziej niepokoi to, że Lasy Państwowe umocniły i tak solidne trakty i przejścia na dukty w Białowieży. Widziałam na własne oczy – wkopuje się takie rury dla ciężkiego sprzętu, które odprowadzają wodę i buduje wjazdy w dukty, w głąb lasu ... Przecież to się robi po coś... Puszcza powoli się zabliznia, ale wycinki wciąż trwają.

Bez Obozu dla Puszczy, który to stale monitoruje na potrzeby Strasburga, nie znalazłbyśmy skali. Oni cały czas tworzą profesjonalną dokumentację, która może być dowodem w każdym sądzie. Chwała Obozowi, że trwa. Zresztą, rozjeżdżają się, bo muszą być w Karpatach i różnych

innych miejscach, ale ciągle monitorują Puszcę. Teraz, kiedy cały świat się zastanawia, jak i gdzie dosadzać, wycinka jest niewyobrażalnym barbarzyństwem.

A to jest decyzja polityczna. I trzeba zdecydować, jaki mamy cel: chronimy świat, czy go niszczymy. Dlaczego się wycina drzewa w puszczy? Prowadzi się gospodarkę leśną. Tym się zajmują Lasy Państwowe, czyli instytucja gospodarcza, a decyzję polityczną powinno podjąć ministerstwo. Np. ministerstwo klimatu, wody. Te nasze teraz, to są ministerstwa z minionego wieku. Obecna władza zlikwidowała ministerstwo ochrony środowiska i powołała ministerstwo środowiska. Od razu wiadomo, że środowisko posłuży eksploatacji.

Marek Nowicki, pierwszy szef Komitetu Helsińskiego, wpajał, że obywatel ma cztery obowiązki, trzy ustawowe i jeden etyczny: płacić podatki, poddawać się wyrokom sądowym, bronić ojczyzny przed wrogiem oraz obalić niesprawiedliwą, autorytarną władzę, o ile się da metodami demokratycznymi, czyli wyborami... Czy to ma dzisiaj jakieś zastosowanie?

To ma dziś podstawowe zastosowanie. Jakość władzy jest funkcją naszego zaangażowania. Władza jest emanacją społeczeństwa. To nie jacyś „oni”, tylko po prostu tacy jesteśmy i taką mamy sytuację polityczną, jaką sobie sami stworzyliśmy. Od 30 lat mamy niepodległe państwo i jakość demokracji, jakość zarządzania nim zależy od nas. Moglibyśmy się zastanowić, co robimy nie tak, że to poszło w tę stronę...

W tym roku obchodzimy 75. rocznicę wybuchu Powstania Warszawskiego. Zgodnie z obecną „polityką historyczną”, powstańcy warszawscy trochę zeszli na plan dalszy na korzyść żołnierzy wyklętych. Co myślisz o tego rodzaju propagandzie, która jednych wynosi, a innych marginalizuje?

Przed wszystkim myślę, że jeśli społeczeństwo dopuszcza do powstania próżni, to musi się liczyć z tym, że wypełnią ją raczej gorsze rzeczy niż lepsze. Zły pieniądź wypiera dobry, ale tu nawet nie bardzo



fot. Przemysław Wiszniewski

było co wypierać, bo to jest kwestia formacji rodzinnej i szkolnej, ale przede wszystkim tej pierwszej. Przekazywanie tradycji zawsze było domeną rodzin – jeżeli się tego nie robi, to potem takie są konsekwencje. Uważam, że powinniśmy mieć pretensje do samych siebie, że nasza historia nie była dla nas ważna.

Wywodziś się z rodziny o powstańczych tradycjach, prawda?

Moja mama w chwili wybuchu wojny była uczennicą maturalnej klasy Liceum im. Marszałkowej Piłsudskiej na Placu Inwalidów, które stworzyli dla swoich córek oficerowie z Żoliborza Oficerskiego. Jako harcerka 8. Warszawskiej Górskiej Drużyny Harcererek, mama odbyła szkolenie na kursie sanitarnym i na łącznościowym. W 1939 r. powstało Wojenne Pogotowie Harcererek, które przygotowywało drużyny do zbliżającej się wojny. Takie działania podejmowano szczególnie tu na Żoliborzu, który był dzielnicą założoną po I woj-

nie światowej przez ludzi, którzy zjechali do Warszawy budować odrodzone państwo polskie. Tu była pełna świadomość wśród rodzin wojskowych. Mój dziadek był strzelcem, potem oficerem Pierwszej Brygady Legionów, Peowiakiem (członkiem Polskiej Organizacji Wojskowej), do 1920 roku. Potem był kartografem wojskowym.

Od razu 1 września poszli na służbę. Moja mama trafiła na Dworzec Gdański, a potem do komórki łącznościowej. Na Powstanie dostała przydział do Komendy Głównej na ul. Moniuszki. Była łączniczką gen. Łaszcza. Na ochotnika brała udział w walce o PAST-ę, bo zaistniała potrzeba zwiększenia liczby oddziałów, uczestniczyła w walce o kościół św. Krzyża. I jak wszystkie rodziny, mamy koleżanek i kolegów, zawsze 1 sierpnia przychodziła na Cmentarz Powązkowski, żeby oddać hołd poległym. To było zawsze tradycją i mówienie o tym, że kiedyś nie obchodziło się tej rocznicy, jest nieprawdą. Jak

1 sierpnia było się na cmentarzu, to cały jarzył się od światła. Ja byłam w drużynie harcerskiej w liceum im. Sempołowskiej i byliśmy tam wcześniej sprzątać groby.

Ciągle słyszy się głosy kwestionujące sens tego zrywu...

Uważam, że jak nie ma wyjścia, to się walczy. Nie można powiedzieć, że nie będziemy walczyć albo że ta walka nie miała sensu. My byliśmy pod zaborami. Zaborcy prowadzili politykę wyniszczającą pod każdym względem, okradającą nasz kraj. Myśmy nie mieli wyjścia. W związku z tym podejmowaliśmy kolejne powstania. Uważam, że tym ludziom należy się szacunek. Ci sami zresztą ludzie, gdy sytuacja była inna, podejmowali działania oświatowe, kulturalne. Działali na tych dwóch polach – z jednej strony rozwoju świadomości społecznej, kształcenia, rozwoju kultury i budowaniu jej instytucji. A jak trzeba było, to się organizowali do powstania. ■

HISTORIA ŻYJE W DOMU POWSTAŃCA

Na warszawskiej Woli przy ulicy Nowolipie 22, ukryty w cieniu starych drzew, znajduje się Dom Wsparcia dla Powstańców Warszawskich. Można tu spotkać uczestników tragicznych wydarzeń z sierpnia i września 1944 r.

Ewa Krawczyk-Dębiec



Dom Wsparcia dla Powstańców Warszawskich, fot. Ewa Krawczyk-Dębiec

Przed powstaniem Domu żyjący jeszcze żołnierze Powstania Warszawskiego nie mieli miejsca, w którym mogliby się codziennie spotykać. Miało ono powstać w zabytkowym budynku fabrycznym przy ul. Hrubieszowskiej, ale jego remont pod nadzorem konserwatora bardzo się przedłużał i zabierał czas, którego powstańcy nie mają. Wykorzystując trochę przedwyborczą gorączkę, działacze Towarzystwa Przyjaciół Warszawy oraz prezes Stowarzyszenia Monopol Warszawski wynegocjowali z władzami miasta obecną lokalizację. Dom otworzył swoje podwoje 30 września 2018 r.

Dzień w Domu Powstańca

Dom czynny jest codziennie od poniedziałku do piątku w godzinach od 10 do 18. Ci, którzy nie są w stanie przyjść samodzielnie, mogą skorzystać ze specjalnego samochodu. Kierowca zabiera podopiecznego z mieszkania, dowozi na miejsce, a po skończonym dniu odwozi. Ze względu na warunki lokalowe w Domu może przebywać jednocześnie 30 powstańców. Nie ma możliwości sprawowania opieki w mieszkaniu podopiecznego ale w razie pilnej potrzeby czy choroby pracownicy Domu odwiedzą go, zaniósą obiad czy dodadzą otuchy w szpitalu.

Otwarcie Domu poprzedziły szerokie konsultacje, jakie potrzeby powinien on zaspokajać. Większość oczekiwań udało się zrealizować, w miarę możliwości technicznych. Powstał mały gabinet zabiegowy, w którym można udzielić pomocy w razie pogorszenia samopoczucia lub wykonać drobny zabieg. Jest też drugi gabinet, w którym codziennie prowadzona jest rehabilitacja i gimnastyka ogólna. Co ważne, fizjoterapeutki same dobierają ćwiczenia, powstańcy nie muszą mieć specjalnych zaleceń lekarskich. Dla powstańców to jedna z ważniejszych rzeczy, jakie dzieją się w ośrodku. Zdarzało się, że osoby, które przychodziły o kulach, po trzech tygodniach zapomniały zabierać je do domu.

Nie udało się na razie zorganizować systemowego dostępu do lekarza pierwszego kontaktu, bo wymagałoby to oddzielnego pomieszczenia na gabinet i umowy z zakładem podstawowej opieki zdrowotnej. Rekompensuje to oferowana przez Dom możliwość konsultacji z lekarzem geriatrą, do którego Powstańca może zgłosić się w razie potrzeby. W drobnym zakresie, ze względu na ograniczenia lokalowe, realizowane są usługi kosmetyczne i fryzjerskie. Podopieczni bardzo chętnie z nich korzystają.

Wspólny posiłek

Dom Powstańca zapewnia ciepły posiłek dostarczany przez firmę zewnętrzną, nie ma bowiem własnej kuchni. Chęć skorzystania z obiadu trzeba jednak zgłosić dzień wcześniej. Powstańcy lubią tutaj jeść, jest to dla nich duże odciążenie – nie trzeba iść po zakupy, nieść ich do mieszkania i stać przy kuchni, szczególnie gdy ktoś mieszka sam.



Spotkanie z Żołnierzem Powstania Warszawskiego Andrzejem Płaskowskim ps. Andrzej II, fot. Ewa Krawczyk-Dębiec

Posiłek podawany jest w głównej sali, służącej też do spotkań i przyjmowania gości. Początkowo był ustawiany na środku duży, ciężki stół, ale kilka mniejszych okazało się lepszym rozwiązaniem. Najczęściej skład każdego stolika jest już stały, każdy ma swoje upodobania i osoby, z którymi najchętniej przebywa. Co do zasady nie porusza się spraw dotyczących religii i polityki. Przynajmniej oficjalnie, bo w małych grupkach niekiedy rozmawia się i o tym.

Podopieczni Domu lubią wspominać, doskonale pamiętają to, co działo się w przeszłości, szczególnie wyraźne są dla nich obrazy z Powstania Warszawskiego. Obserwują też bieżące wydarzenia, choć nie zawsze je komentują. Tak było w listopadzie po Marszu Niepodległości – nie było wówczas słychać rozmów na ten temat, ale może dlatego, że za mało jeszcze się znali i nie chcieli poruszać kontrowersyjnych tematów. Czuć jednak, że taki sposób świętowania, z racami, nie znajduje ich uznania.

Spotkania z historią

W Domu odbywają się cykliczne spotkania, na których powstańcy opowiadają o swoich losach. To czas, kiedy historia jednego człowieka pokazuje dzieje Warszawy i jej mieszkańców. Są one pomysłem przewodników związanych ze Stowarzyszeniem Monopol Warszawski. Każde spotkanie poświęcone jest jednemu z powstańców. Opowieść,

ubarwiona wyświetlanymi zdjęciami z prywatnych archiwów, pokazuje losy jej bohatera od narodzin, poprzez okres wojny, aż do teraźniejszości. Poznajemy rodziców powstańca, jego małżonka i dzieci, wykształcenie oraz osiągnięcia zawodowe.

Opowiadają też o trudnych chwilach. Dla jednego z bohaterów najgorsza była ta, kiedy po stłumieniu powstania trafił w ręce Anglików. Kazali mu umyć się, zabrali powstańczy mundur i dali do przebrania niemiecki i w takim ubraniu wysłali do obozu, gdzie spotkał ojca. Nigdy nie zapomni jego przerażonego wzroku, kiedy ujrzał syna w mundurze wroga. Po obozie znalazł się w Holandii. Chciał wracać do kraju, ale usłyszał, że tam Niemcy i Rosjanie wymordowali elity i musi zostać, żeby zdobyć wykształcenie. Tylko w taki sposób pomoże Polsce.

Ten powstańca ma na swoim koncie wiele patentów. Pracując w czasach PRL na uczelni, rekomendował swoich studentów na wyjazdy zagraniczne, pod warunkiem jednak, że wrócą. Przez te wszystkie lata tylko jeden został za granicą, ale tylko dlatego, że poznał tam miłość swego życia. Ta historia bardzo poruszyła siedzących na sali młodych wolontariuszy.

Goście, wolontariusze i ludzie dobrej woli

Do Domu Powstańca często przychodzą goście – uczniowie ze szkół, całe klasy wraz z wychowawcami, ale i osoby znane z pierwszych stron gazet, między innymi Janusz Gajos i Krzysztof Zanussi. Z gospodarską wizytą byli też prezydenci Warszawy – Hanna Gronkiewicz-Waltz i Rafał Trzaskowski.

Do Domu Powstańca można przyjść i pomóc albo zostać wolontariuszem. Może nim zostać każda osoba, która ukończyła 13 lat. Można też zaspokoić jakąś konkretną potrzebę – tak było z klimatyzacją. W upalne dni budynek szybko się nagrzewa. Gdy jeden z odwiedzających poczuł ten nieznosny upał, szybko zorganizował zrzutkę na zakup i montaż klimatyzacji. I teraz w gorące dni powstańcy wolą spędzać czas tu niż we własnych mieszkaniach.

Każdy chętny do pomocy lub wolontariatu może przyjść do Domu lub zadzwonić na numer telefonu podany na jego stronie internetowej: www.monopolpraski.pl/www/dom-wsparcia-dla-powstancow-warszawskich/. ■



Środek transportu dla Powstańców, fot. Ewa Krawczyk-Dębiec

MOJA ULICA (I WIEŚ) W LATACH OKUPACJI

Siekiera motyka piłka deska, tu ulica Skaryszewska.
Siekiera motyka i dwie deski, już jesteśmy na Skaryszewskiej.

Włodzimierz Witkowski



Obóz przejściowy dla cywilów wysyłanych na roboty do Niemiec w Warszawie, przy Skaryszewskiej 8.
Zdjęcie opublikowane w publikacji z 1942, źródło: wikipedia.org

Tak o mojej ulicy, mającej w latach okupacji złą sławę, śpiewano w jednej z „zakazanych piosenek”. Ulica niczym się nie wyróżniała – wąska jezdnia wybrukowana „kocimi łbami”, oświetlona latarniami gazowymi. Codziennie wieczorem latarnik szedł wzdłuż ulicy i długim hakiem zapalał każdą z latarni, rano zaś po kolei je gasił.

Zabudowa to kamienice czynszowe z lat 30., budynek z przełomu XIX i XX w, kościół oo. Pallotynów, kilka baraków. Między budynkami nr 6 i nr 10 (moim) – szkoła. To tu, w budynku szkoły, Niemcy zorganizowali więzienie przejściowe dla osób ujętych w łapankach organizowanych

niemal codziennie na ulicach Warszawy. I stąd zła sława ulicy.

Szkoła, położona ok. 400 m od Dworca Wschodniego, była dobrym punktem do lokowania więźniów wysyłanych do Rzeszy lub do obozów koncentracyjnych. Przed budynkiem stali dwaj wartownicy, każdy w mundurze i hełmie, z karabinem na ramieniu, w wysokich butach. Pamiętam kolumny ludzi prowadzonych pod eskortą na dworzec, często popychanych, niekiedy bitych.

Od tyłu budynek szkoły sąsiadował przez płot z podwórkiem domu, w którym mieszkalem. Przez cały dzień gromadzili się tam ludzie – rodziny aresztowanych,

usiłując nawiązać z nimi kontakt. Więźniowie spuszczały przez okno sznurek z przywiązany doń listem, prosząc strażników o przełożenie go za płot. Rodziny przywiązywały do sznurka swoje listy albo też wkładały list do butelki i tę przywiązywały do sznurka. Do butelki można było włożyć kolejny list i rzucić ją już prosto na nasze podwórko, bez pomocy wartowników. W efekcie ziemia w pasie kilku metrów od płotu była dosłownie zasłana potłuczonym szkłem.

Strych domu służył jako suszarnia. Któregoś dnia moja babcia poszła powiesić pranie i jakież było jej zdumienie, kiedy po otwarciu kłódki zobaczyła ponad dwudziestu mężczyzn, którzy uciekli z więzienia przez dach i natychmiast chcieli zbiec na dół i czmychnąć jak najdalej. Jednak babcia była bardziej od nich przewidująca i opanowana. Zabłokowała wyjście i powiedziała, że jeżeli Niemcy zobaczą taki tłum wychodzący z budynku, natychmiast wszystkich połapią. „Przejęła dowództwo” i wypuściła dwóch uciekinierów – jednego drzwiami frontowymi, drugiego tymi od podwórka. W ten sposób przez ponad godzinę wypuszczała co kilka minut kolejną parę. Wszystkim udało się bez przeszkód opuścić budynek.

Do matki – nauczycielki przychodzili uczniowie na tzw. tajne komplety. Ja siedziałem sobie wówczas w kącie bawiąc się klockami, ale wszystko słyszałem. W efekcie przerobiłem co najmniej program pierwszej klasy. Pamiętam też nocny alarm lotniczy. Wszyscy mieszkańcy zbiegli do piwnicy. Była to zwykła piwnica a nie żaden schron, więc nie zapewniała ochrony przy bezpośrednim uderzeniu bomby, ale zawsze było to lepsze niż

nic. Gdy zagrożenie minęło, ojciec zabrał mnie na podwórko, skąd widać było flary – silne race opadające wolno na spadochronach i rozświetlające noc.

Z powodu zagrożenia nalotami w nocy obowiązywało zaciemnienie. Należało albo nie używać światła, co było nierealne, albo szczelnie zasłaniać okna. Po wszeczenie robiono więc „zasłony” okienne – ramy z listew obite grubym czarnym papierem. Wyglądało to okropnie, więc niektórzy mieszkańcy próbowali na wewnętrznej stronie tych paneli coś namalować, aby ożywić nocny widok okna.

Trudno też było wytrzymać przy zamkniętych oknach, szczególnie latem. I takiego upalnego wieczora przy stole siedziały trzy panie: moja babcia, matka i ciotka, czytając „bibuły” – nielegalne biuletyny Polskiego Państwa Podziemnego. Było tak gorąco, że uchyliły okno. W pewnym momencie, mimo godziny policyjnej – dzwonek do drzwi. Kto tam? Dozorca z żandarmami. Nie było czasu na chowanie bibuły w lepszym miejscu; zostały one jedynie wsunięte pod obrus. Panie z duszą na ramieniu otworzyły drzwi. Okazało się, że przez uchylone okno widać światło. Ulga, tylko to. Ale żandarmi musieli spisać protokół. I ten, który pisał, siadł właśnie tam, gdzie leżały bibuły. Na szczęście albo nie zauważył, albo nie chciał się tym zajmować. Skończyło się na drobnej karze.

Latem 1944 r. znalazłem się na wsi (Rzeczniów w powiecie iłżeckim). Tam wyżywienie było łatwiejsze niż w mieście, gdzie na wiele artykułów obowiązywały kartki żywnościowe. Ziemniaki, warzywa i owoce i zboże na mąkę były z własnego pola i ogrodu. Chleb piekło się samemu, zwykle co dwa tygodnie. W taki dzień rarytasem były podpiomyki – placki z ciasta chlebowego pieczone po wyjęciu chleba z pieca, w niższej temperaturze. Bochny chleba przechowywało się w beczce przykrytej zwilżanym materiałem. Własny drób dostarczał jajek, mleko również było od własnej krowy, podobnie jak zebrana zeń śmietana i zrobione z niej w ręcznej maselnicy masło.

Mięso jadało się od święta. Częściej drób, od czasu do czasu wieprzowinę lub cielę-

cinę, przy czym ten, kto zabił zwierzątko, dzielił się (na zasadzie wzajemności) z sąsiadami. Mimo kontroli i obowiązkowych dostaw dla Niemców (świniom zakładano na ryj kolczyk, który był dowodem objęcia jej ewidencją), chłopci nauczyli się kiwać niemiecką administrację. Najczęściej przekładano kolczyk na młodsze prosię, dzięki czemu świnia „nie rosła”. Dziadek stosował też trudniejszą metodę – hodował krowę i dwie świnie w zbudowanej w stodole komórce, obłożonej snopkami zboża, które maskowały wejście i dobrze tłumiliły dźwięki.

Ukrywanie zwierząt gospodarskich było jednak niczym w porównaniu z ukrywaniem ludzi. W tejże stodole za snopkami praktycznie mieszkał przez wiele miesięcy mój stryj, wówczas 22-letni. Wychodził z ukrycia jedynie po zmierzchu. W ciągu dnia jedzenie, także gotowane, było mu dostarczane ukradkiem.

Ryzyko wpadki było niemałe. Po dojściu wojsk rosyjskich do linii Wisły wycofujący się Niemcy rozlokowali się m.in. w naszej wsi. A że dziadek miał chałupę, w której były dwa pokoje z podłogami z desek (w tej okolicy standard dość wysoki),

Niemcy zajęli oba, zostawiając nam jedynie kuchnię (z glinianą polepą) i zabudowania gospodarcze. W kuchni znalazło się miejsce dla dwu kobiet (w tym babci) i dwojga młodszych dzieci w wieku 2 i 3 lat. Ja jako sześciolatek wraz z dorosłymi do ostatniej dekady grudnia spałem w stodole. 23 grudnia stacjonujący oddział wycofał się. Na jego miejsce tuż po świętach Bożego Narodzenia zakwaterowany został nowy oddział, ale ten zajął tylko jeden pokój.

Nie tylko poprawiły nam się warunki lokalowe, ale ci nowi żołnierze odnosili się do nas zupełnie inaczej. Być może było to spowodowane tym, że stacjonującemu u nas oficerowi ponoć wpadła w oko moja 25-letnia ciotka. Niemniej jednak wcześniej było nie do pomyślenia, aby któryś z Niemców nosił na rękach mnie lub młodszego brata, czy też częstował nas czekoladą.

Przyszła wreszcie druga połowa stycznia. Ruszyła ofensywa znad Wisły. Działan wojennych nie widziałem – ofensywa przeszła bokiem. Pamiętam jednak idącego przez pole polskiego żołnierza, przyjęcie go w domu i radość z tym związaną. ■



ulica Skaryszewska 10, 8 i 6 - sierpień 2017, fot. Włodzimierz Witkowski

MARSZ MILCZENIA'44

Postanowił, że albo wyjedzie z kraju, albo przygotuje takie wydarzenie na uczczenie rocznicy wybuchu Powstania Warszawskiego, które łączy ludzi, a nie dzieli. Do niego przyłączyli się inni społecznicy.

Anna Dysińska



fot. Renata Zawadzka-Ben Dor

Coraz częściej dymy z flar przesłaniają nam Powstanie Warszawskie, powstańcze wspomnienia ustępują „apelowi smoleńskiemu”, a wrzaski młodzieńców w t-shirtach z hasłami nacjonalistycznymi zagłuszają „Małą dziewczynkę z AK”. Coraz mniej miejsca dla prawdziwych bohaterów tamtych wydarzeń. To bolało nie tylko ich. – Jestem związany ze stolicą emocjonalnie i ogromnie przeżywałem tak zszargany 1 Sierpnia – mówi Robert Hojda, pomysłodawca „Marszu Milczenia '44” i założyciel komitetu społecznego o tej samej nazwie. – Wymyśliłem obcho-

dy, które w centrum stawiają powstańców oraz mieszkańców stolicy, a nie nasze myślenie o tym wydarzeniu.

Pomysł milczącego i spokojnego marszu spodobał się w zwłaszcza wielu młodym ludziom, którzy od trzech lat licznie gromadzą się w pierwszym dniu sierpnia, aby przejść od pomnika „czołgu-pułapki” przy ul. Kilińskiego na warszawskiej Starej do jednej z niewielu już ocalałych kamienic pamiętających getto żydowskie. – Nawet nie zdajemy sobie sprawy, jak wielu powstańców miało inny paszport niż polski czy mówiło innym językiem

– kontynuuje Robert Hojda. – To pokazuje nam, że obchodząc tę rocznicę nie możemy zamykać się na innych czy ulegać nacjonalistycznym nastrojom.

Marsz jest unikatowy także z tego powodu – może dlatego coraz więcej zainteresowania nim wykazują warszawiacy i władze miasta. Już druga edycja znalazła się w informatorze wydany przez stołeczny urząd.

– Byłam wstrząśnięta wyciem i gwizdami na cmentarzu powązkowskim podczas uroczystości rocznicowych, które miały



fot. Renata Zawadzka-Ben Dor

miejsce kilka lat temu – mówi Elżbieta Krasowska-Modlinger, członkini komitetu. – Niestety, coraz więcej wydarzeń historycznych dzieli Polaków. To wstyd dla nas. Moja mama była łączniczką o pseudonimie „Pistolet” i w batalionie „Kiliński” brała udziału w Powstaniu. Dlatego przyłączyłam się do inicjatywy Roberta. Zajmuję się m.in. stroną graficzną akcji, ale także działam w straży marszu.

– Zgłosiłam się do pomysłodawcy marszu ze względu na pamięć mojej rodziny, która co prawda nie brała udziału w walkach, ale podzieliła los wielu warszawiaków pomagającym powstańcom – mówi Katarzyna Wyszomierska z Komitetu Społecznego „Marsz Milczenia ‘44’”. – Część mojej rodziny powstanie spędziła po jednej, a część po drugiej stronie ulicy Towarowej, którą jeździł niemiecki czołg. Dopiero po kilkudziesięciu dniach spotkali się i, tak jak wielu mieszkańców, zostali wypędzeni z Warszawy, a potem wrócili. Prababcia męża pochowana jest na Cmentarzu Wolskim; zginęła 5 sierpnia, gdy Niemcy likwidowali szpital – była przypadkową ofiarą powstania. Podobna mi się idea upamiętnienia w naszych działaniach nie tylko osób walczących, ale zwykłych warszawiaków.

Związana z powstańczym cmentarzem na Woli jest Wanda Traczyk-Stawska ps. „Pączek” (o cmentarzu i jej roli – w innym artykule), która jest honorowym członkiem komitetu. Przez swojego dowódcę

dwa lata po Powstaniu została wyznaczona do opieki nad grobami swoich kolegów. To ona jest orędowniczką wolskiej nekropolii, w której pochowano zebrane z całej stolicy szczątki i prochy poległych w czasie 63 dni walk. I dlatego po „Marszu Milczenia” w tym roku po raz pierwszy został zorganizowany transport na cmentarz wolski, aby uczestnicy wydarzenia mogli i tam oddać hołd uczestnikom i świadkom powstania.

– Nasze wydarzenie jest organizowane tylko przez wolontariuszy i jak na razie jedynie ze środków społeczników – dodaje Elżbieta Krasowska-Modlinger. – Dlatego byliśmy bardzo zdziwieni coraz większym

zainteresowaniem naszą inicjatywą. Każdy z nas wybiera tego dnia wydarzenie, w którym chce oddać cześć bohaterom i cieszymy się, że ludzie przychodzą całymi rodzinami na marsz.

– Polacy coraz częściej biorą udział w obchodach organizowanych nie przez władze centralne, a przez samorządy czy takie grupy jak nasza – dodaje Katarzyna Wyszomierska. – Może wolą więcej zadumy niż przemówień? Myślę też, że całoroczna praca członków komitetu i współpracujących wolontariuszy przyciąga ludzi, bo widzą, że nasz patriotyzm nie jest tylko od święta.

Komitet Społeczny na co dzień współpracuje m.in. z Domem dla Weteranów Powstania Warszawskiego na stołecznych Nowolipkach. – Spotykamy się tam z powstańcami, którym potem pomagamy w życiu codziennym (remont domu, zakup wózka, zakup i założenie klimatyzacji) – dodaje na koniec Robert Hojda. – Ale przede wszystkim – słuchamy ich. Oni bardzo często wspominają swoje spotkania z powstańcami z 1863 roku w domu weteranów na Pradze Północ w Warszawie. Nasza działalność stanowi jakby kontynuację tego pomysłu. Naszym celem jest również przekazywanie kolejnemu pokoleniu, że praca i pamięć są ważniejsze niż nawet najgłośniejsze i najmądrzejsze hasła czy najpiękniejsze i najbardziej kosztowne fajerwerki. ■



fot. Renata Zawadzka-Ben Dor

CMENTARZ POWSTAŃCZY NA WOLI – NIECH PRZYCHODZI TU CAŁA WARSZAWA

Kotwica na koszulkach, a nawet na męskich slipach, powstańcze symbole na kijach bejsbolowych czy tatuażach – jak na taki „patriotyzm” patrzy strażniczka największego cmentarza powstańczego

Wanda Traczyk-Stawska, ps. „Pączek”?

Anna Dysińska



Cmentarz Powstańców Warszawy, fot. Katarzyna Pierzchała

Część prochów zebrano wśród spalonych domostw, ze zniszczonych skwerów, z likwidowanych szpitali, w których razem z rannymi żołnierzami zabito pacjentów, lekarzy i pielęgniarki. Prochy dziewczyn i chłopców z AK zebrane z palonych piwnic wymieszane były ze szczątkami chroniących się tam cywilów.

– Na wolskim cmentarzu leży 13-letni chłopak, który został sam w domu, gdy wybuchło powstanie – opowiada strażniczka pamięci. – Kiedy Niemcy zgarniali ludzi z Marszałkowskiej, żeby ich rozstrzelać, zabrali i jego. W ostatniej chwili dziecko wyjęło z klatki kanarka i trzymało go, gdy Niemcy dokonywali egzekucji, a potem palili ciała. Pochowano tu tego chłopca i jego kanarka oraz 12 ton prochów warszawiaków.

Wiele lat o tę zbiorową braterską mogiłę dla swoich kolegów i koleżanek walczyła plutonowa Wanda Traczyk-Stawska, ps. „Pączek”. – W 1947 r. od swojego dowódcy dostałam rozkaz, że mam odnaleźć ich szczątki i godnie pochować – mówi drobna kobieta, która przeszła szlak bojowy Śródmieście Północ - Powiśle - Śródmieście Południe, a po Powstaniu przez trzy stalagi. – Moi towarzysze byli pierwotnie pochowani na trawnikach, obok barykad, na dziedzińcach kamienic, gdzie się tylko dało. – Miałam odnaleźć ich i spowodować, by odzyskali nazwiska oraz miejsca godne ich walki i cierpienia – dodaje. –

Stworzono tę nekropolię, ale przez wiele lat była zapomniana. Dopiero kiedyśmy odzyskali niepodległość w 1989 r., zaczęło się coś zmieniać.

Cmentarz parafialny na Woli założono w 1854 roku, ale w latach 60. ub. wieku nastąpiło jego znaczące powiększenie i wyodrębnienie Cmentarza Powstańców Warszawy. Spoczywają tu prochy ok. 100 tys. osób – członków Armii Krajowej i innych formacji, którzy oddali życie podczas Powstania Warszawskiego, zamordowanych mieszkańców Warszawy, a także 3,5 tys. żołnierzy Wojska Polskiego poległych w obronie stolicy w 1939 r.

Wanda Traczyk-Stawska przypomina, że 2 października, w rocznicę kapitulacji powstania, obchodzony jest Dzień Pamięci o Cywilnej Ludności Powstańczej Warszawy. – To ludność była bohaterami, my byliśmy tylko ich wojskiem, to ludność cywilna zdecydowała o Powstaniu – dodaje. Tłumaczy, że podczas okupacji matki widziały swoje dzieci idące na zbiórki i szkolenia najpierw ZWZ, a potem AK, AL czy innych formacji. – To matki nasze przez pięć lat drżały, że gdzieś idziemy, bo przecież wiedziały o konspiracji. To matki, gdy ludność cywilna została przez władze niemieckie wezwana do kopania umocnień, rozumiały, że dojdzie do boju między Niemcami a Rosjanami i że ze stolicy nie zostanie kamień na kamieniu. To one pozwoliły na nam wyjść pierwszego sierpnia, by walczyć. ■

PRAWDZIWA HISTORIA KOLUMBA

Stanisław Likiernik był żołnierzem Kedywu, walczył w Powstaniu Warszawskim. Stał się pierwowzorem dla Stanisława Skiernika „Kolumba”, jednego z bohaterów powieści „Kolumbowie rocznik 20”.

Agnieszka Wyczółkowska

Gdy w dzieciństwie, w latach 70. oglądałam serial „Kolumbowie” zrealizowany na podstawie powieści Romana Bratnego, a potem w klasie maturalnej przeczytałam tę powieść, nie przypuszczałam, że poznam pana Stanisława Likiernika, na którym autor wzorował jednego z głównych bohaterów. Pierwszy raz spotkałam go w 1994 r., w czasie obchodów 50. rocznicy wybuchu Powstania Warszawskiego, a kilka lat potem przez dwa miesiące byłam opiekunką jego żony. Miałam zatem okazję poznać tego niezwykłego człowieka i prowadzić z nim ciekawe rozmowy.

Stanisław Likiernik urodził się w 1923 r., jak większość rówieśników, odebrał wychowanie patriotyczne. Jego ojciec Tadeusz był oficerem wywiadu, pracownikiem Sztabu Głównego, wcześniej adiutantem płk Lisa Kuli i gen. „Orlicz” Dreszera. Ojciec wpajał Staszce, że „jeśli ktoś obraża twojego ojca, twoją matkę, twoją Ojczyznę albo ciebie, to bij.” Chłopiec często wracał ze szkoły z podbitym okiem czy rozkwasyzonym nosem. Z okresu dzieciństwa datuje się jego przyjaźń z Romanem Mularczykiem, czyli Romanem Bratnym.

Gdy wybuchła II wojna światowa, Stanisław, podobnie jak jego koledzy chciał walczyć z okupantem. We wrześniu 1941 r. wstąpił do Związku Walki Zbrojnej, a potem do Armii Krajowej. Działal w Kedywie, oddziałach prowadzących akcje dywersyjne. Brał udział w wykonywaniu wyroków śmierci na Niemcach i polskich kolaborantach.

Najczęściej wspominał akcję na „Panienkę”. Tak nazywano bahnschutz, niemieckiego strażnika kolei, który w okolicach Dworca Zachodniego w Warszawie w przebraniu kobiety strzelał do kobiet i dzieci, które zbierały węgiel na torach. Brał też udział „w ramach akcji „Pol”, w ataku na samochód Gestapo, w wyniku którego zginęli SS-Obersturmführer Herbert Junk, owiany grozą były komendant „Pawiaka” i SS-Untersturmführer Hoffman.

Powstańczy szlak Stanisława Likiernika to Wola, Stare Miasto, ul. Senatorska, Ogród Saski, Śródmieście i Górny Czerniaków. Był kilkakrotnie ranny i przebywał w kilku szpitalach. Zawsze podkreślał wielką rolę, jaką odgrywały dziewczyny pracujące jako sanitariuszki i łączniczki. To one uratowały mu życie, przenosząc z jednego szpitala do drugiego. Ranny po wybuchu „go-liata”, został umieszczony w piwnicy przy ulicy Wilanowskiej.

Został pojmany przez Niemców, ale cudem uniknął rozstrzelania. Po powstaniu dotarł do Konstancina, gdzie zamieszkał u przyjaciółki rodziców.

Według niego, „dla młodych, którzy całą okupację przygotowywali się do walki z Niemcami, powstanie było spełnieniem. Królik stał się z ofiary myśliwym”. Uważał jednak, że powstanie to wielka tragedia. Z rąk Niemców zginęło ok. 20 tys. młodych ludzi, zniszczono miasto. Był krytyczny wobec dowódców – gen. Okulickiego, Pełczyńskiego, szczególnie zaś wobec Antoniego Chruściela „Montera”.

Uważał, że „Monter” podjął decyzję o godzinie „W” na podstawie niesprawdzonych informacji, wręcz plotek, posądzając go o chęć zostania nowym Trauguttem. Zarzucał „Monterowi” małostkowość przejawiającą się tym, że w chwili, gdy toczyły się walki, ginęli ludzie, on martwił się tym, że to Tadeusz „Bór” Komorowski podpisuje telegramy dla rządu w Londynie. Stanisław Likiernik miał nadzieję, że w przyszłości nikt nie wyśle młodych ludzi „w bój bez broni”, „na czołgi z butelką benzyny”, z kilkoma karabinami, granatami na ludzi uzbrojonych po zęby.

Po zakończeniu wojny wyjechał z kraju, osiadł we Francji i uzyskał francuskie obywatelstwo. Ożenił się, miał dwoje dzieci i troje wnuków. Dla nich przede wszystkim napisał wspomnienia „Diabelne szczęście czy palec Boży”. Od lat 50. regularnie odwiedzał Polskę. Zmarł 17 kwietnia 2018 r. w Wersalu.



Grób Stanisława Likiernika na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach w Warszawie, fot. Mateusz Opasiński, źródło: wikipedia.org

FESTIWAL PODWYŻEK DOPIERO SIĘ ZACZYNA

W „spożywcaku” do koszyka wkładasz dwie kajzerki, 10 najtańszych jajek, jakiś dżem, serek wiejski, masło, parówki i okazuje się, że nie stać cię na śniadanie, bo masz 20 zł. Jeszcze trzy lata temu wydałbyś 16 zł z małym ogonkiem. Co dzieje się z cenami?

Katarzyna Wyszomierska



fot. pixabay.com

Jesień może nie okazać się dla wielu osób taka piękna, bo inflacja, która rośnie od początku roku, pod jego koniec jeszcze przyspieszy. Wzrost cen dostrzegają nie tylko analitycy finansowi; sami zauważamy, że nasze portfele szybciej pustoszeją. Inflacja w czerwcu wyniosła 2,6 proc., wobec 2,4 proc. w maju. Statystyczny Kowalski za przykładowy koszyk śniadaniowy w maju zapłacił 21,59 zł, czyli o 5,37 zł więcej niż trzy lata temu.

bułka kajzerka 50 g – z 0,28 zł na 0,38 zł
10 najtańszych jajek – z 3,48 zł na 5,01 zł

dżem Herbapol 280 g – z 3,33 zł na 3,84 zł
serek wiejski Piątnica – z 1,46 zł na 1,78 zł
masło ekstra 200 g – z 3,3 zł na 5,35 zł
parówki Berlinki 250 g – z 3,74 zł na 4,17 zł

Ile od maja 2016 r. do analogicznego miesiąca roku 2019 wyniosła zmiana cen podstawowych produktów? Królem jest papier toaletowy (wzrost o 91,2 proc.), który kosztował 3,07 i zdrożał do 5,87 zł (za 8 rolek). Goni go masło (wzrost o 62,1 proc.), za które w 2016 r. trzeba było zapłacić 3,30 zł, a w 2019 - 5,35 zł za kostkę 200 gramową, ale ziemniaki są szybsze (wzrost o 64,7 proc., z 2,24 zł do 3,69 zł

za 1 kilogram). Nie ustępują w wyścigu także i inne towary jak 10 najtańszych jaj (44 proc.), najtańsza sól (43,2 proc.), ser gouda (35,5 proc.), bułka kajzerka (35,7 proc.), pomarańcze (34,1 proc.).

Pan Mariusz zaoszczędził, bo... zrobił zakupy za zachodnią granicą. – Wyszło taniej niż w Polsce – mówi. – Byłem w maju w Niemczech i w jednej z popularnych sieci za 10 jaj, chleb chrupki Wasa 250g, brokuł 0,348 kg, duży pęczek szczypioru, ser gouda tarty 100 g, ser gouda plastry 300 g, makaron rurki 500 g, paprykę czerwoną 2 szt., pieprz cały w młynku 50 g

i dżem 450 g zapłaciłem 12,78 euro. Po przyjeździe za taki sam koszyk musiałem dać 57,02 zł, czyli o jedno euro więcej.

Na targu wyścig cen

Lato zawsze było czasem najtańszych warzyw. Było, ale już nie jest. Od kilku lat ceny płodów rolnych drożeją. Królową rankingu wzrostu cen jest kapusta, której cena w ciągu kilkunastu miesięcy wzrosła o 500 proc., ale goni ją pietruszka (150 proc.). Seler kosztował jeszcze do niedawna 2,30 zł za kilogram, obecnie 3,50 zł. Burak ćwikłowy już wcześniej wiosną kosztował 1,2 zł, a rok wcześniej 0,7 zł, kapusta kwaszona 3,6 zł, a rok wcześniej 2,5 zł, kapusta czerwona 2,8 zł, a rok wcześniej 0,8 zł (porównanie luty 2019 do lutego 2018 r.).

Ceny idą w górę z różnych powodów, choć susza wydaje się być głównym winowajcą. Dotknęła rolników w zeszłym roku, ale również i w tym. Część z wytwórców czy przetwórców płodów rolnych nie otrzymało w ogóle lub nie otrzymało na czas rekompensat. Niektórzy nie ruszyli z produkcją na części arealów, stąd mniejsza podaż. W tym roku wiosną w wielu regionach Polski już odczuwano suszę, ale klęska przyszła szybciej niż w zeszłym, równie gorącym roku. W niektórych powiatach deszcz nie spadł przez dwa miesiące, a przypomnijmy, że przez prawie miesiąc utrzymywały się afrykańskie upały.

Jest wiele czynników sprzyjających inflacji. Przedsiębiorcy coraz głośniejszą mówią o zwiększających się podatkach i kosztach pracy, które wpływają nie tylko na ceny produktów, ale i usług.

Za te same pieniądze nie tylko mniej zjemy, ale i zatankujemy. 20-procentowy skok cen paliw (benzyna bezołowiowa zdrożała z 4,39 zł do 5,28 zł za litr) niestety przekłada się nie tylko na wzrost cen artykułów spożywczych, ale także usług i towarów przemysłowych. W naszych rozmowach coraz częściej pojawia się temat wzrostu cen usług komunalnych, takich jak dostarczenie i oczyszczanie wody czy wywóz odpadów. W dodatku ceny za leczenie rosną prawie najszybciej

w tym stuleciu – w maju usługi medyczne podrożały aż o 5 proc. (rok do roku) i w związku z wydłużającymi się kolejkami do państwowych placówek na pewno nie będą spadać. Do tego drożeją leki...

Inflacja nasza codzienna

Podwyżki czają się wszędzie! – Inflację widzę także w słodyczach, które moje dzieciaki uwielbiają – mówi pani Weronika, mama Ingi, Karoliny i Piotrusia. – Kiedyś czekolada ważyła 100 g, jeszcze pół roku temu – 90 g, a teraz widzę, że 5 g urwana. Producenci zmniejszają gramaturę, aby nie pokazywać podwyżek, zapewne związanych ze wzrostem cen prądu i benzyny. Taka sama cena, ale różna gramatura dotyczy piwa, sosów, dżemów, lodów, kaszy, ryżu – na przykład kiedyś występujących w wersji 4x100 g, a teraz – 4x80 g. Coraz mniej jest też wódki w wódce. „Żubrówkę” można kupić w wersjach 40 i 37,5 proc. Cena pierwszej jest wyższa od drugiej, więc nieświadomy niczego klient sięgnie po tę tańszą i słabszą. A przed nami podwyżka akcyzy, która nastąpi w 2020 r...

Prognozy nie pozostawiają złudzeń – nie ma co liczyć na spadek cen. Analiza dotycząca produktów spożywczych (w tym pieczywa, nabiału, słodyczy, warzyw, owoców, mięsa i przetworów), a także kilku towarów używanych na co dzień (papier toaletowy, pasta do zębów, mydło czy proszek do prania) i benzyny pokazuje, że ceny rosną w niespotykanym od dekady tempie. Już w styczniu analitycy alarmowali, że Polska znalazła się w gru-

pie krajów, w której wzrost cen artykułów konsumpcyjnych jest najwyższy. Ekonomści przestrzegają przed kryzysem, który będzie odczuwalny podczas ostatniego kwartału tego roku, a najpóźniej w styczniu. NBP w opublikowanym w lipcu „Raplocie o inflacji” przewiduje wskaźnik wzrostu cen towarów i usług konsumpcyjnych (CPI) w tym roku na poziomie 2,0 proc., w 2020 r. – 2,9 proc. Po raz pierwszy od sześciu i pół roku inflacja w Polsce przekroczyła cel inflacyjny NBP. Przewidywany przez bank centralny wzrost cen energii w 2019 r. wyniesie 0,5 proc., by do 2020 r. dociągnąć do 4,1 proc.

Pełna obaw jest emerytka, pani Bogusia, która codziennie jedzie na drugi koniec miasta po tańsze warzywa i mięso. – Tak, dostałam dodatkowe pieniądze od rządu, ale wydałam je na coraz bardziej drożącą żywność – żali się pani Bogusia, która skrupulatnie liczy wydatki domowe od przejścia na emeryturę w 2014 roku. – Kajzerka pięć lat temu kosztowała 0,14 zł, teraz dwa razy więcej, mleko w lipcu 2016 r. kosztowało 2,30 zł, rok później o 10 groszy więcej. Za kilogram cukru w lipcu 2016 r. płać 2,80 zł, a w lipcu 2017 r. już 3,15 zł. A ceny warzyw jakieś z kosmosu. I tak grosz do grosza okazuje się, że na coraz mniej mnie stać. Drożyzna bije w najslabszych: emerytów czy rodziny osób niepełnosprawnych. Musimy sobie odmawiać już nie tylko drożących leków, ale rezygnować z niektórych produktów. Gdzie te czasy, gdy pietruszka była w zasięgu emeryta, a na kapustę nie trzeba było pożyczać? Strach myśleć, jakie drogie będą święta. ■



fot. pixabay.com

PRZECIEŻ TO JUŻ BYŁO!

Gdy po przewrocie majowym skupieni w BBRW zwolennicy marszałka Piłsudskiego przejmowali w Polsce rządy, stosowali metody, które dziś wydają się dziwnie znajome. Warto bliżej przyjrzeć się wydarzeniom sprzed 90 lat.

Maria Klawe-Mazurowa



Czy wiesz ??? - fragment ulotki z 1928 r. wydanej przez BBRW, fot. polona.pl

4 marca 1928 r., w niespełna dwa lata po przewrocie majowym, który doprowadził do zmiany prezydenta RP, nowelizacji konstytucji i odsunięcia od władzy rządów chadecko-ludowych, odbyły się wybory do parlamentu drugiej kadencji. Wystarowały do nich, tak jak w 1922 r., liczne,

wzajemnie się zwalczające partie, od skrajnie prawicowych po komunistyczną lewicę. Na ich tle wyróżniał się Bezpartyjny Blok Współpracy z Rządem, który nie zgłaszał konkretnego programu politycznego, a jedynie postulował odnowę moralną państwa i ograniczanie tzw. partyjniactwa. Silnym narzędziem wprowa-

dzenia tych postulatów miał być solidaryzm społeczny i oddanie władzy w ręce Józefa Piłsudskiego, czemu miała w przyszłości służyć zmiana konstytucji.

Mimo że sytuacja gospodarcza w kraju, po niedawnym kryzysie, zaczęła się poprawiać jeszcze przed wyborami, BBWR

głosił hasła sanacji – uzdrowienia państwa, które według niego było w ruinie, nękanie korupcją i malwersacjami partii zasiadających w parlamencie. Przeznaczając ogromne fundusze na akcję propagandową, wojewodowie i starostowie, mimo że było to sprzeczne z prawem, organizowali na swoich terenach spotkania przedwyborcze z kandydatami BBWR.

Spółeczeństwo, zmęczone kryzysem i przestraszone sytuacją polityczną, masowo wzięło udział w wyborach – głosowało prawie 80 proc. uprawnionych. BBWR zdobył najwięcej mandatów, ale do większości było daleko. Zaowocowało to niepowodzeniem już w trakcie pierwszych obrad. Na marszałka Sejmu został wybrany Ignacy Daszyński, były premier i przywódca socjalistów, a nie kandydat Piłsudskiego Kazimierz Bartel. Wpływ na taki wynik miało pojawienie się w Sejmie policji. Posłów komunistycznych, którzy zakłócali przemówienie inauguracyjne obrady Piłsudskiego, brutalnie usunięto z sali. Lewica, a zwłaszcza PPS, z której wyszedł Piłsudski, była wprawdzie skłonna go popierać, ale nie zamierzała we wszystkim mu ulegać.

Ten opór sprawił, że ludzie związani z Piłsudskim zaczęli od środka rozsadzać partię lewicową. Metodami znanymi nam ze współczesnego życia politycznego obóz „belwederski” przyciągnął do siebie wielu posłów ugrupowań lewicowych. Był to cios uderzający w opozycję, ale paradoksalnie również w obóz rządzący. Perfidne działanie piłsudczyków doprowadziło bowiem do zbliżenia partii z lewej strony, które zaczęły porozumiewać się przed głosowaniami.

Jesienią 1928 r. okazało się, że rząd, mający dbać o poprawę moralności w życiu politycznym, nie jest bez skazy. Minister skarbu Gabriel Czechowicz przekazał z nadwyżki budżetowej, bez zgody i wiedzy parlamentu, 8 mln złotych na fundusz wyborczy BBWR. W listopadzie 1928 r. Stronnictwo Narodowe złożyło w sejmie wnioski o wyjaśnienie nadużyć finansowych. Z powodu braku reakcji rządu partię lewicową wystąpiły w lutym 1929 r. o postawienie Czechowicza przed Trybunałem Stanu. Rząd starał się to

uniemożliwić – posuwał się do łamania konstytucji, tak interpretując jej zapisy, aby uzasadnić swoje działania zgodnością z ustawą zasadniczą. Również głosowania w komisjach sejmowych były tak ustawione, aby ich wynik był zgodny z wolą rządu. Ostatecznie decyzję przegłosowano, jednak Trybunał nie wydał wyroku, odsyłając z powrotem sprawę do sejmiku „do dokładniejszego zbadania”.

Sprawa Czechowicza nie była jedyną. Niedługo po niej pojawiły się w prasie informacje o tajnym funduszu dyspozycyjnym ministra poczt i telegrafów Bogusława Miedzińskiego, z których to pieniędzy finansowano organizację kombatancką legionistów. Latem prasa zamieściła relacje z wyjazdu premiera Kazimierza Świątalskiego, spędzającego na koszt podatników urlop w Biarritz, najmodniejszej i chyba najdroższej miejscowości wakacyjnej w Europie.

Łamanie prawa, naginanie konstytucji, odraczanie i zawieszanie posiedzeń sejmiku, kupowanie albo zastraszanie posłów opozycji, narzucanie zarządów komisarzycznych instytucjom samorządowym, eliminowanie przedstawicieli opozycji z zarządów spółek sprawiło, że 14 września 1929 r. partię opozycyjną podjęły decyzję o zawiązaniu wspólnego bloku centrolewicowego (Centrolew). Następnym krokiem mającym ukrócić samowolę piłsudczyków było zgłoszenie wotum nieufności dla rządu. Powołany nowy rząd podał się jednak do dymisji już w marcu 1930 r. Kolejnym premierem został zaufany Piłsudskiego Walery Sławek. Miał opowiadać opozycję, ale działania Centrolewu wyszły już poza ramy parlamentu.

Nowa koalicja zorganizowała 20 czerwca 1930 r. w Krakowie Kongres Obrony Praw i Wolności Ludu. Po kongresie odbył się masowy wiec na Rynku Kleparskim, podczas którego uchwalono rezolucję zapowiadającą usunięcie dyktatury Piłsudskiego. Na 14 września zwołano do Warszawy wielki ogólnopolski wiec protestacyjny.

Oprócz kwestii politycznych istotne znaczenie miała też gwałtownie pogarszająca się sytuacja ekonomiczna. W 1930 r.

zaczął do Polski docierać kryzys ogólnoswiatowy. Wycofanie się zagranicznego kapitału, spadek produkcji, obniżka cen zboża, a potem również innych produktów rolnych zaowocowały szybką pauperyzacją mieszkańców wsi, a w konsekwencji również miast. Zmniejszenie popytu na produkty przemysłowe, zamykanie przedsiębiorstw i co za tym idzie gwałtowny wzrost bezrobocia, to były czynniki, które dodatkowo wzmacniały opozycję partii lewicowych i centrowych wobec rządu. Ten jednak wydawał się bardziej przejmować kwestiami politycznymi niż gospodarką i poziomem życia społeczeństwa.

W obliczu tak zdecydowanego wystąpienia opozycji Piłsudski osobiście objął funkcję premiera, a prezydent Mościcki rozwiązał parlament, zapowiadając przedterminowe wybory na 16 (sejm) i 23 (senat) listopada. Znienawidzona przez Piłsudskiego „sejmokracja” przestała istnieć. Byli posłowie, pozbawieni immunitetów, stali się bezbronni wobec sprawujących władzę.

W nocy z 9 na 10 września czołowi działacze partii opozycyjnych oraz osoby, które szczególnie negatywnie wypowiadały się publicznie o Piłsudskim, zostały aresztowane. Aresztowania odbyły się na polecenie ministra spraw wewnętrznych, a nie sądu. Wszystkich przewieziono do twierdzy w Brześciu. Dopiero po wyborach, ponad rok później, zostali postawieni przed sądem, oskarżeni o chęć obalenia legalnego rządu i otrzymali wyroki od 1 do 3 lat więzienia. Część udała się na emigrację.

Usunięcie potencjalnych kandydatów partii opozycyjnych do parlamentu, rozpętana w prasie nagonka pełna insynuacji i niepotwierdzonych oskarżeń pod adresem przeciwników oraz ostra akcja propagandowa i niepewność jutra wywołana kryzysem gospodarczym zaowocowały zwycięstwem w wyborach bloku rządowego. Wprawdzie otrzymał nieznacznie mniej niż 50 proc. głosów, ale przełożyło się to na ponad 50 proc. mandatów. Droga do ostatecznej zmiany prawa i pełnej władzy została otwarta.

Czy czegoś to wszystko nie przypomina? ■

SŁOWNIK WYRAZÓW TRUDNYCH: LGBTQ

Wiele wskazuje na to, że podczas trwającej kampanii wyborczej kwestia osób LGBTQ odegra ważną rolę. Rządzący próbują nimi straszyć, licząc na brak wiedzy swoich zwolenników. Warto zatem wyjaśnić, o co chodzi.

Karolina Romańska



fot. pixabay.com

W Polsce poziom akceptacji dla osób o nieheteronormatywnej orientacji seksualnej od lat jest stały, nie spada i nie wzrasta względem ostatnich badań w 2015 r., zleconych przez Stowarzyszenie „Miłość Nie Wyklucza” działające na rzecz umożliwienia osobom nie-heteroseksualnym zawierania legalnych związków partnerskich.

No dobrze, ale „LGBTQ”? Nieheteronormatywność? Co to za stwór i dlaczego nas ciągle tym męczą? I w ogóle o co tyle hałasu?

Wg Oksfordzkiego Słownika Języka Angielskiego, akronim pochodzenia angielskiego „LGBTQ” można rozwinąć jako „lesbian, gay, bisexual, transsexual and

queer” – czyli orientacje seksualne lesbijki, geje, biseksualiści, transseksualiści i osoby „queer”.

Lesbijki to kobiety, którym podobają się inne kobiety. Geje to mężczyźni, którym podobają się inni mężczyźni. Biseksualiści czują pociąg seksualny do obu płci jednocześnie. Transseksualiści to osoby, które nie akceptują swojej płci i dążą do jej zmiany. Osoby „queer” nie identyfikują się jednoznacznie jako kobieta lub mężczyzna; myśłą o sobie niejako jak o androgenicznej „trzeciej płci”.

Ponadto, osoby transseksualne rodzą się kobietą lub mężczyzną, ale psychicznie czują się płcią przeciwną. Po operacji zmiany płci i terapii hormonalnej asymilują całkowicie swoją nową płć i za-

chowują się w niej bardzo stereotypowo (czyli mężczyzna zmienia się w kobietę i staje się kwintesencją kobiecości; nosi zwiewne sukienki, pełny makijaż, zawsze ma pomalowane paznokcie i utrefione włosy; a kobieta zmieniona w mężczyznę staje się kwintesencją męskości – rąbie drzewo, pali cygara, zachowuje się głośno i ekspansywnie, działa zdecydowanie, itp.). Osoby „queer” nie zawsze mają potrzebę zmiany płci; czasami posiadają jednocześnie fizyczne atrybuty męskie i żeńskie (np. kobiece piersi, ale męskie genitalia). Przykładem osoby „queer” jest finalistka/ka Eurowizji Conchita Wurst z Austrii.

Pozostała nam jeszcze „nieheteronormatywność”. Oznacza to przynależność do społeczności LGBTQ, która nie mieści

się w heteroseksualnej „normie” w skali społecznej. Biologicznie rzecz ujmując, heteroseksualizm to norma, w Polsce, Europie i na świecie. Nie ma widoków, by to się zmieniło, gdyż byłoby to ewolucyjnie niewskazane. Osobniki heteroseksualne mają najwyższe szanse na posiadanie i wychowanie potomstwa. W Polsce osób identyfikujących się jako należące do którejś grupy LGBTQ jest 4,9 proc. i częściej są to kobiety niż mężczyźni. Wg niemieckiego Dalia Research Institute, w całej Europie jako należący do grupy LGBTQ identyfikuje się 6 proc. populacji. Zatem w Europie jest więcej osób LGBTQ niż w Polsce, co może wynikać z większej świadomości osób ankietowanych, większej lub mniejszej szczerości, a także po prostu ze stanu faktycznego.

Czy nieheteronormatywne orientacje seksualne są dziedziczne, czy też można się nimi „zarazić”? Wg naukowych badań, nie bardziej niż można zarazić się leworęcznością. Natomiast co to tego, czy np. homoseksualizm jest genetycznie uwarunkowany, nauka nie jest do końca zgodna. Wiele badań wskazuje, że raczej nie jest to kwestia genetyki; jest to jednak kwestia biologii. Badania wykonane w kilku państwach na świecie, od Europy po wyspy Samoa, sugerują, że homoseksualizm może mieć podłoże ewolucyjne. W środowiskach, gdzie wielodietność jest normą, występuje on częściej niż w pozostałych. Inne badania wskazują na, że znaczenie ma kolejność i liczba synów urodzonych przez tę samą kobietę. Im więcej synów, tym prawdopodobieństwo, że następny będzie miał homoseksualną orientację, wzrasta w uwagi na zmiany w organizmie matki, wpływające na kolejne ciąży. Badanie nie pokazuje jednak tych samych rezultatów w przypadku córek. Istnieją też badania łączące poziom stresu matki podczas ciąży z wyższym prawdopodobieństwem wystąpienia u dziecka dysonansu orientacji psychofizycznej (orientacja fizyczna niezgodna z psychiczną). Jednoznacznych konkluzji w tej chwili jednak nie ma.

Z drugiej strony, istnieją grupy i środowiska, skupione najczęściej wokół religii, które utrzymują, że bycie osobą homoseksualną lub inną z grupy LGBT to wybór,

skutek złego wychowania, złych wzorców w okresie dojrzewania lub traumatycznych przeżyć oraz że można „uzdrowić” osobę homoseksualną i sprawić, by stała się heteroseksualna. Wg prof. Lwa Starowicza, „należy przestać odrzucać terapię mającą zmienić orientację homoseksualną. Wielu pacjentów poinformowanych o skuteczności leczenia może dokonać racjonalnego wyboru i poddać się terapii w celu minimalizacji niechcianych zainteresowań homoseksualnych i rozwoju potencjału heteroseksualnego. Należy uznać, że zdolność do dokonania takiego wyboru jest fundamentalna dla autonomii i samostanowienia pacjenta.”

Zatem warunkiem koniecznym jest chęć i zainteresowanie zmianą samej osoby poddawanej terapii. Zmiana pod przymusem nie jest możliwa. Nie ma natomiast naukowego potwierdzenia teorii, że orientację można zmienić siłą woli. Należy też pamiętać, że przy braku dowodów na skuteczność tzw. terapii konwersyjnej istnieją bardzo mocne dowody naukowe na to, że prowadzi ona do zaburzeń natury psychicznej, zwiększonej podatności na depresję, a także stosunkowo często kończy się samobójstwem pacjenta.

Badania zdają się popierać tezę, że orientacja LGBTQ ma podłoże bardziej w czynnikach biologicznych niż w środowiskowych. Psychologia stosowana oraz osoby o poglądach konserwatywnych twierdzą

inaczej. Faktem jest, że homoseksualizm występuje samoistnie u wszystkich gatunków zwierząt, od myszy i szczurów po ssaki naczelne, w tym blisko spokrewnione z człowiekiem szympansy.

Amerykańskie Towarzystwo Psychologiczne wydało nawet w tej sprawie oświadczenie: Nie ma wśród naukowców konsensusu co do dokładnych przyczyn rozwijania się u jednostki orientacji heteroseksualnej, biseksualnej, gejowskiej czy lesbijskiej. Pomimo licznych badań, które poszukiwały możliwych genetycznych, hormonalnych, rozwojowych, społecznych i kulturowych wpływów na seksualną orientację, nie pojawiły się żadne odkrycia, które pozwoliłyby naukowcom na wnioski mówiący, że seksualna orientacja jest determinowana przez jakikolwiek szczegółowy czynnik czy czynniki. Wielu uważa, że zarówno natura, jak i wychowanie wspólnie odgrywają skomplikowane role; większość osób doświadcza niewielkiego lub żadnego wyboru dotyczącego ich orientacji seksualnej.

Konkludując, niczego nie można stwierdzić jednoznacznie. Poza jednym – każdy człowiek żyje tak jak chce, gdy ma do tego warunki; a gdy ich nie ma, walczy o nie i je zdobywa albo ginie próbując. Pytanie tylko, czy skoro mniejszość LGBTQ jest w autentycznej „mniejszości”, to spełnienie jej próśb zmieniłoby cokolwiek w życiu większości? ■



fot. pixabay.com

PIELGRZYMKA – WĘDRÓWKA, KTÓRA PRZYBLIŻA DO ABSOLUTU

Od zarania swojej historii człowiek podejmuje trud pielgrzymowania, by zbliżyć się do bóstwa. Zmieniają się warunki, sposób podróżowania, ale cel jest zawsze ten sam: duchowe spotkanie z Istotą Najwyższą.

Agnieszka Wyczółkowska



fot. pixabay.com

Wszelkie praktyki religijne, niezależnie od wyznania, mają na celu zbliżenie się do Boga, bogów, do Absolutu, do Istoty Najwyższej. Wierzący zwracają się do bóstwa modlitwą słowną, określonymi słowami, np. chrześcijańskie „Ojcze Nasz”, modlitwa różańcowa czy Hezychazm (modlitwa Jezusowa). Pielgrzymka, wędrówka do sanktuarium to ponadkonfesyjna, obecna we wszystkich kulturach, znana od najdawniejszych czasów forma modlitwy. Jej trzy elementy to chcący obcować z Absolutem człowiek, przestrzeń, którą musi przebyć sam lub w grupie od punktu wyjścia do

punktu dojścia i sacrum, Sanktuarium, miejsce, w którym ma się dokonać jego przemiana.

Systemy religijne, zarówno monoteistyczne jak i politeistyczne porównują życie ludzkie do pielgrzymowania. Dla chrześcijan czy muzułmanów każdy dzień to zbliżanie się do Boga, dla wyznawców hinduizmu czy buddyzmu życie to dążenie do doskonałości i wyzwolenia, a Absolut jest kresem życia człowieka religijnego. Szczególnie ważny jest aspekt przejścia, będącym początkiem wyższego stanu uduchowienia, kształtowania charakteru przez trudy wędrówki. Średniowiecze znało pię-

ciu towarzyszy pielgrzyma: głód, pragnienie, upał, zimno, chorobę lub śmierć.

Pielgrzymi wyruszają w drogę z różnych powodów – wotywnych, błagalnych, pokutnych czy dziękczynnych. Od lat 60. ubiegłego wieku obserwujemy, obok tych wyżej wymienionych, motywy poznawcze. Wykształciła się cała gałąź turystyki, turystyka pielgrzymkowa, religijna. Wiele biur podróży organizuje podróże, które obok pobytu w sanktuarium oferują ciekawy program turystyczny.

Pielgrzymujemy od zawsze, odkąd nauczyliśmy się odróżniać sacrum od profa-

num. Miejscem kultu były – a dla ludów pierwotnych Afryki, Amazonii czy Australii są nadal – rzeki, wodospady, źródła, lasy, skały, drzewa lub gaje. W Europie znajduje się 900 kamiennych kręgów pochodzących z epoki neolitu i brązu. Były to świątynie, w których odprawiano obrzędy ku czci zmieniających się pór roku czy związane kultem płodności. Najślawniejszym z nich jest Stonehenge w Wlk. Brytanii. Obok kamiennych kręgów tworzono długie rzędy kamieni granitowych lub wapiennych, megalitów. Stawiano też pojedyncze głazy. Wiele z nich spotkamy we Francji, Niemczech, Portugalii i Szwecji. Prawdopodobnie miały one związek z kultem śmierci.

Egipcjanie, Grecy i Rzymianie udawali się do świątyń będących miejscem kultu bogów. Na przykład do Delf, świątyni Apolla, gdzie zapoznawali się z przepowiednią jego wyroczni, Pytii. W Księdze Wyjścia Starego Testamentu Bóg nakazał Żydom, by trzy razy w roku stawiali się przed Nim. Miejsca, do których pielgrzymowano, to groby Patriarchów Abrahama, Izaaka i Jakuba oraz ich żon w Hebronie.

W VII wieku przed Chrystusem król Dawid przeniósł Arkę Przymierza do Jerozolimy, a jego syn Salomon wybudował tam Świątynię, najświętsze miejsce, gdzie obecny był Jahwe. Jerozolima stała się najważniejszym miejscem kultu, najświętszym miastem dla Żydów. Świątyniami Pielgrzymkowymi, w czasie których wyznawcy Jahwe przybywali do Jerozolimy, Hebronu czy Tyberiady, były Pascha, Święto Tygodni czy Namiotów. Są to święta upamiętniające exodus i wędrówkę Narodu Wybranego przez pustynię w poszukiwaniu Ziemi Obiecanej.

Obecnie wyznawcy judaizmu przybywają do Ścian Płacu, jedynej pozostałości po zburzonej przez Rzymian w 64 r. drugiej Świątyni, by modlić się i mieć bezpośredni kontakt z Bogiem. Chasydzi, jeden z odłamów judaizmu, udają się grobów cadyków, czyli mędrców, np. do Góry Kalwarii. Swoistym miejscem, do którego przybywają ludzie z całego świata, by uczcić ofiary Zagłady, jest Muzeum Holocaustu Instytutu Yad Vashem w Jerozolimie. To też jest miejsce pielgrzymki.



fol. pixabay.com

Jerozolima to święte miasto trzech religii: judaizmu, chrześcijaństwa i islamu. Chrześcijanie od początku przybywali do miejsc związanych z życiem i śmiercią Jezusa. Nawiedzano przede wszystkim Grób Jezusa, nad którym wybudowano bazylikę. Pielgrzymi, dla których była to podróż życia, opisywali swoje doświadczenia. Jedną z autorek była Egeria, pątniczka, która odwiedziła Ziemię Świętą, a jej przewodnikiem był tekst Nowego Testamentu.

Najbardziej znaną pątniczką była Helena, matka cesarza Konstantyna. Według tradycji, to ona odnalazła Święte Schody, po których wchodził Jezus do Piłata, a które obecnie znajdują się w katedrze na Lateranie w Rzymie. Świętej Helenie przypisuje się również odnalezienie drzewa Krzyża Świętego.

Chrześcijanie pielgrzymowali też do Rzymu, miasta związanego z działalnością i męczeństwem apostołów Piotra i Pawła. Od średniowiecza ważnym miejscem pielgrzymowania jest grób brata Jezusa i apostoła Jakuba Większego w Santiago de Compostela. Tradycja pielgrzymki, drogi św. Jakuba, sięga ośmiuset lat. Droga wiedzie z terenów Litwy przez Pomorze Zachodnie, Niemcy, Francję do Hiszpanii. Dla katolików ważne są miejsca związane z objawieniami maryjnymi – Fatima i Lourdes.

Dla nas Polaków najważniejsza jest pielgrzymka na Jasną Górę do obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej, którego opiekunami są paulini. Tradycja pielgrzymki warszawskiej sięga roku 1711. W latach

zaborów czy komunizmu jej odbycie było wyrazem patriotyzmu.

Pielgrzymka do świątyni Kaaba w Mekce – miejsca, w którym zgodnie z muzułmańską tradycją modlił się Adam, jak również związanego z życiem Mahometa – to jeden z pięciu filarów Islamu. Każdy muzułmanin, którego na to stać i który jest do tego zdolny, ma obowiązek raz w życiu wziąć udział w zbiorowej wielkiej pielgrzymce hadżdż i odprawić rytuały, z których najważniejszym jest siedmiokrotne obejście czarnego kamienia Kaaby. Pielgrzymka odbywa się w miesiącu zu al-hi-dżdża, przy czym liczy się tylko pobyt i dopełnienie rytuałów w Mekce, podróż za pielgrzymkę nie jest uważana. Można też w dowolnym czasie odbyć indywidualną, małą pielgrzymkę, umrzeć, w czasie której należy siedmiokrotnie obejść Kaabę.

W hinduistycznym eposie Mahabharata z VI w. p.n.e. znajdziemy informacje o 300 miejscach pielgrzymkowych znajdujących się przy 12 szlakach oplatających cały subkontynent indyjski. Szlaki te mają początek w Puszkarze, a kończą się w Prajagradź (d.Allahabad). Pielgrzymi udają się nad brzeg świętej rzeki Ganges, by dokonać w niej oczyszczającej kąpeli. Wielu z nich przybywa do świętego miejsca, by zakończyć tu życie.

Ludzie pielgrzymują do miejsc świętych od chwili, gdy nauczyli się odróżniać sacrum od profanum. Dziś miejscem pielgrzymek mogą być nie tylko świątynie różnych religii, ale też domy gwiazd muzyki czy aktorów... Ale to już inna historia. ■

WRZEŚNIOWE BEZRUCH SZKOLNY

Reforma wprowadzona, uczniowie upchnięci po szkołach, podręczniki kupione, plany lekcji ułożone, trzeba się tylko dostosować i przetrwać. Jest na to cały wrzesień. Może nie będzie tak źle jak straszili, w końcu jakąś szkołę trzeba skończyć.

Anna Schwerin



fot. pixabay.com

System nas pokonał. Był doskonale przygotowany do wdrożenia reformy. Przewidywał na kilka ruchów do przodu reakcje nauczycieli, rodziców i uczniów. Perfekcyjnie wykorzystał tradycyjną wzajemną niechęć tych grup do siebie. Bagatelizował zauważane problemy, metodycznie rozniecając strach, złość i agresję.

W dodatku wiedział, że owtądnięci silnymi, indywidualnymi emocjami związanymi z potencjalną krzywdą naszych dzieci, nie usłyszymy prawdy o nadrzędnym celu reformy, mimo że system us-

tami minister edukacji Anny Zalewskiej cały czas to powtarzał.

Daliśmy się zmanipulować, bo pod rządową mantrę (wszystko dokładnie policzone, uczniowie nie odczują zmiany, likwidacja gimnazjum to dobry krok, a samorządy mają czas, aby się przygotować) podłożyliśmy nie te dane.

System wykorzystał również fakt, że edukacja w zasadzie nigdy nie była oczkiem w głowie społeczeństwa. Do szkoły „się chodzi”, wybiera kolejną, zdaje maturę i albo studia, albo praca. W rozmo-

wach przewijają się głównie osiągnięcia dzieci, kłopoty z nauczycielami, wystarczająca lub też nie liczba poszczególnych godzin przedmiotów. Nie dyskutujemy o obowiązującej podstawie programowej, czyli o tym, czego szkoła zobowiązuje się nauczyć nasze dzieci.

Sukces gimnazjów

Na szczęście w ciszy i bez emocji powstał „Raport o skutkach wprowadzanej obecnie przez władze reformy oświaty i propozycji przyszłego systemu edukacji”, który został przygotowany i zaprezentowany podczas Świąt Wolności i Solidarności (Gdańsk, 1- 4 czerwca 2019 r.) przez zespół redagujący portal „NIE dla chaosu w szkole”.

Autorki raportu w sposób skondensowany omawiają reformę edukacji rządu Jerzego Buzka z lat 1998–1999 (trzystopniowy system edukacji: szkoła podstawowa - gimnazjum - liceum/technikum) i porównują ją z wprowadzanymi obecnie zmianami. Okazuje się, że reforma z lat 90. wypadła bardzo pozytywnie w międzynarodowych badaniach prowadzonych i koordynowanych przez Organizację Współpracy Gospodarczej i Rozwoju (OECD) w ramach programu PISA (Programme for International Student Assessment). Badanie to polega na ocenie umiejętności uczniów z różnych krajów, którzy ukończyli 15 lat, czyli są u progu dorosłości. Na tej podstawie naukowcy udoskonalają systemy edukacji.

Wyniki z ostatnich lat wskazały, że polscy 15-latkowie (w stosunku do uczniów z innych państw) znacznie poprawili

swoje umiejętności oraz że w Polsce nastąpił szybszy niż w innych krajach europejskich proces niwelowania różnic w umiejętnościach między uczniami dobrymi a najslabszymi.

Autorki raportu wskazują też, że „awans Polski w badaniach PISA eksperci łączą z coraz lepszym funkcjonowaniem 9-letniego kształcenia ogólnego podzielonego na dwa etapy, z wyodrębnieniem gimnazjum, tj. szkoły dobrze wyposażonej, z kadrą o wysokich kwalifikacjach, nauczającą z użyciem nowoczesniejszych metod.” O patologii, podobno obecnej w gimnazjach, nie znajdziemy tu ani słowa.

Ideologiczna ośmiolatka

Tymczasem w założeniach reformy z 2016 r. „program ośmioletniej szkoły podstawowej otrzymał przede wszystkim cel ideologiczny, określony jako kształtowanie postawy patriotycznej. Zadaniem szkoły stało się wzmocnienie poczucia tożsamości narodowej, przywiązania do historii i tradycji.”

W nowej podstawie programowej zabrakło rozróżnienia pomiędzy patriotyzmem a nacjonalizmem i szowinizmem, pominięto też zagadnienia szacunku i otwartości wobec osób i grup o odmiennej identyfikacji etnicznej, narodowej, religijnej, kulturowej oraz na przeciwdziałanie wszelkim formom rasizmu, antysemityzmu, ksenofobii.

Oto przykłady nowych założeń nauczania ujęte w raporcie:

Język polski: uczeń klas IV – VIII z pomocą starannego doboru lektur szkolnych powinien rozwijać poczucie tożsamości narodowej i szacunek dla tradycji. Jednocześnie nauczyciele utracili prawo do wyboru lektur, do dostosowania toku nauczania do możliwości i potrzeb uczniów, a także do wprowadzania własnych koncepcji dydaktycznych.

Historia: Uczeń ma znać ważne wydarzenia z dziejów narodu polskiego, ich znaczenie, a także wyrażać wobec nich szacunek, zwłaszcza poprzez dokonania wybitnych

postaci historycznych, poznać symbole narodowe, państwowe i religijne.

Geografia: „Ważne zadanie geografii szkolnej kształtującej postawy patriotyczne i poczucie dumy z bycia Polakiem powinno być realizowane za pomocą działań dydaktycznych służących zdobyciu rzetelnej wiedzy na temat dziedzictwa przyrodniczego i kulturowego Polski oraz jej miejsca w Europie i świecie.”

Wiedza o społeczeństwie: powinna skoncentrować się na następujących tematach: co oznacza być Polakiem, co łączy człowieka z ojczyzną – Polską, czym różni się obywatelstwo od narodowości, w czym powinna przejawiać się postawa patriotyczna młodego i dorosłego człowieka.

Szkoła przeciwko lewactwu

Z analizy treści podstawy programowej zatem jasno wynika, że jej celem jest ukształtowanie nowego, indoktrynowanego od najmłodszych lat Polaka. Przesadzam? Ideę reformy jasno wyłożył w artykule „Subkultura elit” profesor Andrzej Waśko, specjalista w zakresie polityki oświatowej i doradca Prezydenta RP (portal.arcana.pl, nr 126): „Polacy o wykształceniu podstawowym i zawodowym okazali się silniejszym elementem społecznym niż cała wielka rzesza magistrów. Ci, którzy nie studiowali, nie mieli bowiem okazji zarazić się tak głęboko post-marksistowskim wartościowa-

niem i modnymi sloganami nowej lewicy. Ponieważ ostoją tego typu myślenia po latach PRL-u pozostały uniwersytety i środowiska opiniotwórcze, wychowankowie tych środowisk i ich satelici przesiąkli fałszywą ideologią w znacznie większym stopniu niż tak zwani ludzie prości.”

Jakże inaczej brzmią w kontekście powyższych słów zapewnienia byłej minister edukacji, że wszystko zostało zaplanowane i reforma się udała. Jestem przekonana, że Anna Zalewska, która była twarzą zmian w szkole, doskonale od początku wiedziała, że nie poniesie żadnych konsekwencji i że czeka ją intratna posada w Brukseli. W tym tkwiła tajemnica jej niewzruszonej postawy wbrew rzeczywistości.

Tymczasem wiemy już, że wprowadzona reforma pogłębi rozwarstwienia społeczeństwa pod względem otrzymanego wykształcenia, obniży poziom ogólnego wykształcenia Polaków, zagraża wzrostem postaw nacjonalistycznych i ksenofobicznych młodego pokolenia. Czy na końcu tej drogi czeka nas nowy Polak – bohater filmików portalu Matura To Bzdura.TV? A może nauczani gorzkim doświadczeniem zaczniemy poważnie traktować edukację dzieci i młodzieży w naszym kraju?

Raport, artykuły i inne materiały dotyczące reformy edukacji dostępne są na stronie <https://niedlachaosuwskole.pl> ■



fot. pixabay.com

KRWAWA JATKA

Z wczesnego dzieciństwa zapamiętałem zakłopotanie pomieszane z ciekawością, gdy mama zabierała mnie do wszystkich enklaw kobiecego świata. Wnętrza sklepów z damską bielizną, zakładów fryzjerskich i kosmetycznych, gabinetów lekarskich i toalet poznawałem bez uprzedzeń oczami dziecka. To wspomnienie powróciło na wystawie w *Muzeum nad Wisłą*, należącym do Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie.

Jerzy Cichowicz



Lena Achtelek, Tajemniczy ogród XVI, 2016, fot. Jerzy Cichowicz

Pierwszy człon tytułu *Farba zna-czy krew. Kobieta, afekt i pragnienie we współczesnym malarstwie* zaczerpnięto z książki Zenona Kruczyńskiego. Nawiązuje on do popularnego w żargonie myśliwskim określenia krwi upolowanego zwierzęcia. Tytuł książki jest jednoznaczny i spójny z przesłaniem autora, który – podkreślimy to – jest byłym myśliwym. Poddaje on krytyce system wartości myśliwskiego świata, w którym poprzez słowne zabiegi i rytuały wypiera się lub oswaja traumę związaną z mordowaniem zwierząt.

Wszystkie recenzje i notatki prasowe powieliły tę informację bezkrytycznie i pomijając kuratorskie rozwinięcie: *Tytułowa farba staje się „cieczą z trzewi”, lepką substancją, która prowadzi tam, gdzie sens się załamuje i rozmywa kategorie władzy i uprzedmiotowienia, prowokując pytanie o to, kiedy patrzymy, a kiedy odwracamy wzrok.*

Na wystawie farba malarska, a szczególnie ta we wszystkich odcieniach czerwieni, pełni przede wszystkim rolę katalizatora. Prowokuje do wnikania w podświadomość i *refleksji nad tym, co wyparte, perwersyjne, wstydlive, objęte zakazem.*

Dominująca czerwień

Muzeum w sposób odpowiedzialny informuje, że niektóre treści prezentowane na wystawie przeznaczone są dla osób pełnoletnich. Ale nawet dla osób dorosłych niektóre obrazy, szczególnie gdy

widzowie wnikną w ich przesłanie oraz traumatyczne doświadczenia artystek, mogą stać się przyczyną trwałego nie-

poкою. Mnie niepokoi nadreprezentacja postaw skrajnych. Wśród pięćdziesięciu artystek, których prace zgromadzono na wystawie, nie sposób wskazać taką, której twórczość nie budzi emocji. Nie w każdym przypadku jest to walorem przekładającym się na efekt całej wystawy.

Zdumiewająca kariera artystyczna oraz popularność twórczości meksykańskiej malarki Fridy Kahlo czy francuskiej rzeźbiarki i malarki Niki de Saint Phalle wskazują, że twórczość amatorska (obie panie nie posiadały wykształcenia artystycznego) po części spowodowana medycznym zaleceniem, może wywoływać u widzów wielkie emocje i tym samym zrobić oszałamiającą karierę. Twórczość obu pań była swoistą autoterapią pozwalającą rozładowywać napięcia i ukoić cierpienia towarzyszące ich chorobie.

Z biogramów artystek, których prace możemy podziwiać na wystawie, do-



Penny Goring, Rozwiedziona pięć razy, 2018, fot. Jerzy Cichowicz



Ambera Wellmann, Teraz teraz, 2018, fot. Jerzy Cichowicz

Potęga niejednoznaczności

Wystawie towarzyszy publikacja zawierająca teksty Barbary Klickiej, Aldony Kopkiewicz, Natalii Malek, Magdaleny Roszkowskiej, Chrisa Sharpa, Natalii Sielewicz i Macieja Sieńczyka. Trudno przecenić rolę tej książki w recepcji wystawy oraz twórczości zaprezentowanych artystek. Autorzy tekstów inspirowali się wybranymi pracami z wystawy, ale różnorodność ujęcia poruszonych tematów oraz

medesa”, namalowany ok. 1530 r. przez Antonio Allegriego, zwanego też Correggio. Obraz ten znajduje się w Muzeum Historii Sztuki w Wiedniu i został wybrany przez reżyserkę Jacqueline Kornmüller i producenta Petera Wolfa do pierwszej edycji projektu.

To dzieło wyjątkowe i zapewne dlatego imię jego bohatera posłużyło do stworzenia tytułu projektu *Ganymed Goes Europe*. Mogłem zapoznać się z jego międzynarodową realizacją z 2013 r., która była wspólnym przedsięwzięciem Muzeum Historii Sztuki w Wiedniu, Muzeum Sztuk w Budapeszcie i Muzeum Narodowego we Wrocławiu. Połączenie aktorskich interpretacji tekstów literackich napisanych przez wybranych autorów z obrazami, które były ich inspiracją, przyniosło

wiadujemy się, że w wielu wypadkach ich twórczość również ma swoje źródło w przeżytych traumach i jest specyficzną formą oczyszczenia (*katharsis*). Nie ma w tym niczego złego, ale czy bez pomocy psychologa lub psychiatry jesteśmy w stanie zrozumieć twórczość kobiety molestowanej seksualnie przez ojca? Czy afirmatywna wersja kobiecości, oparta na autonomii i sprawczości musi oznaczać zawsze w krwawą jatkę? Pomiedzy uległością i dominacją jest nieskończenie wiele stanów pośrednich i ich większa reprezentacja mogłaby złagodzić brutalność przekazu wystawy. Dominująca i przesadnie jednoznaczna kolorystyka, słabo uzasadnione cytaty, a także wtórność kompozycyjna wielu prac niepotrzebnie rozprasza uwagę widza. Sądzę, że główny przekaz wystawy można było osiągnąć bez tych słabszych pozycji.

forma znacznie rozszerza przestrzeń interpretacyjną dla warstwy plastycznej wystawy. Jest to spełnienie manifestu Natalii Sielewicz, kuratorki wystawy: „Nie jest to jednak malarstwo, które na siłę instruuje, oprawia publicystykę czy poucza – raczej pomaga się alternatywnych scenariuszy, a przede wszystkim swobodnej ekspresji i obecności mnogich, krzyżujących się tożsamości”.



Amelie von Wulffen, Proszę, proszę dajcie nam trochę soku, 2017, fot. Jerzy Cichowicz

wówczas efekt podobny do tego zaobserwowanego przeze mnie w Muzeum nad Wisłą.



Stanislava Kovalcikova, Misty, 2017, fot. Jerzy Cichowicz

Ta niejednoznaczność dzieł i ich interpretacji oraz twórcze połączenie wystawy malarstwa z jego literacką reinterpretacją przypomina mi projekt austriackiej grupy teatralnej Wennesowite ist z 2010 r. Inspiracją dla jego twórców był obraz „Porwanie Gani-

Na obrazie Correggia Zeus pod postacią orła porywa Ganimedesa. Wiemy z mitologii, że czyni to dla zaspokojenia swoich lubieżnych popędów. Ale nie dostrzeżemy dramatycznego uścisku ostrych szponów orła. To Ganymedes trzyma się piór porywającego go orła, a do tego jego uśmiech nie koresponduje z pozorną dramaturgią malarskiego przedstawienia. Wieloznaczność pokazanych na warszawskiej wystawie dzieł, ich literacka interpretacja, podobnie jak w projekcie *Ganymed Goes Europe*, przewartościowuje stereotypy na temat uległości i dominacji. ■

RECEPTA NA WAKACJE

Po każdym sezonie wakacyjnym nieuchronnie pojawia się nowa porcja opowieści z wycieczek. Zazwyczaj piloci opowiadają anegdoty o turystach, a turyści... narzekają na pilotów i biura podróży. Może to dobry czas, by serio przyjrzeć się zorganizowanej turystyce...

Maria Lewandowska



fol. pixabay.com

Kiedy kilka lat temu Piotr Krucek opublikował „Wspomnienia pilotów wycieczek”, posypały się gromy, jak śmie dworować sobie z turystów, z których przecież żyje. Jeszcze bardziej dostało się autorce kulinarno-podróżniczego bloga, która „pojechała” po Januszach i Grażynach na wakacjach. A może czasem warto przejrzeć się w takim zwierciadélku, które pokazuje, że ze śniadania (w cenie

wycieczki) chętnie zabieramy nie „jednego bananka na później”, lecz furę kanapek na cały dzień, bo za obiad musielibyśmy zapłacić osobno. O wnoszeniu do hoteli własnych trunków nie ma co wspominać. I ich nadużywaniu.

Przewietrzyć głowę

Katalog „grzechów” jest długi. A ich przyczyną jest najczęściej ksenofobia, kom-

pleks, brak empatii, niechęć do poznawania i akceptowania świata. Bo choć wakacje to czas wyjątkowy, nasza głowa razem z całą zawartością zawsze podróżuje z nami. Sztuka polega na tym, by ją przewietrzyć.

Ogromnie nas cieszy, że obsługa hotelowa zna kilka słów po polsku – akurat tyle, by zrozumieć, że chcemy zamówić wódkę z colą. Gorzej, kiedy chcemy załatwić przedłużenie pobytu w hotelu, bo doba

hotelowa nie kończy się wtedy, kiedy wyjeżdżamy na lotnisko, a zazwyczaj o 11 lub 12 w południe. Wtedy okazuje się, że robienie awantury po polsku nie przynosi skutku. A to, co mówią do nas „po obcemu”, też nie dociera.

Właśnie dlatego najczęściej wybieramy zorganizowaną wycieczkę, żeby tymi ziemnymi kłopotami zajął się pilot. A ten, wiem z doświadczenia, słyszy często „Bo nas Polaków traktują gorzej niż Niemców czy Anglików, a nawet Ruskich”... I na tym właściwie rozmowa się kończy, bo jak tłumaczyć, że zasady dla wszystkich są takie same i po prostu trzeba je respektować?

Gdzie ja jestem?

W katalogu grzechów wycieczkowicza na jednym z pierwszych miejsc jest „nie wiem co kupiłem i czy to co kupiłem jest tym co sobie wyobrażam”. Hotel 4-gwiazdkowy (taki miał być) nie jest 5-gwiazdkowym, jaki byśmy chcieli. „A w ogóle to w dobrych hotelach są białe ręczniki, a w naszym zielone” – usłyszałam od turystki w jednym z najlepszych 5-gwiazdkowych hoteli na Jukatanie.

Czasy małego druczku w umowach dawno minęły, większość biur przekazuje turystom szczegółowe informacje. Tymczasem zdarzyło mi się na wycieczce po Etiopii, która w programie miała sporo wędrowania, drugiego dnia zasuwać z turystką do sklepu, bo zabrała wyłącznie buty na obcasie. „Przeczytałam tylko pierwszą stronę programu i mogę mieć pretensje tylko do siebie” – tłumaczyła i... słusznie. Ale przyznawanie się do błędu i traktowanie spraw z humorem jest rarytasem. Częściej zdarza się tak jak na safari w Kenii, kiedy awantura wybuchła bo... w parku narodowym jest za mało toalet. A jak tu załatwiać potrzebę za samochodem na sawannie?

Dlatego warto zawczasu pomyśleć, co na wakacjach jest dla nas ważne. Jakich warunków się spodziewamy, co chcemy robić. Na Sri Lance, mimo że to kraj, w którym zwiedza się głównie świątynie, nieraz zdarzało mi się usłyszeć, że jest ich za dużo... Tak jak na Malcie kościołów.

Paleta ofert biur podróży jest ogromna i każdy może znaleźć coś dla siebie. Nie wybieramy więc turystycznych kurortów, jeśli cenimy sobie spokój ani masowej turystyki, jeśli liczy się dla nas indywidualne podejście.

Światowy biznes

Oczywiście im taniej, tym lepiej. Tylko to taniej też musi pasować do naszych potrzeb. Masowa turystyka sprawiła, że podróżowanie przestało być elitarne. Turystyka zajęła trzecie miejsce wśród największych biznesów świata. Tyle, że wyobrażenia wielu turystów pozostały w epoce podróżowania elitarnego. Chcemy przeżywać przygody, oglądać egzotyczny świat rodem z XIX wieku. Tymczasem turystyczne osiedla stały się enklawami samymi w sobie.

Znakomity jest przykład tunezyjskiego Sousse czy meksykańskiego Cancun. Oba kurorty powstały od podstaw. Na Jukatanie rząd meksykański wysiedlił mieszkańców, by stworzyć turystyczne miasto-blokowisko. W Tunezji turystyczne miasteczko powstało 1,5 km. od historycznej osady. Próżno w nich szukać klimatu i tradycji. Architektura blokowisk, nawet upstrzona tradycyjnymi detalami, jest emanacją międzynarodowego korporacyjnego gustu. Podobnie jak serwowane w restauracjach menu.

Kłapki na oczach

Wraz z głową na wakacje jadą też gusta. Choć brika (rodzaj naleśnika z sadzonym jajkiem i pietruszką) podają w Tunezji od wieków, turyści wybierają schabowego. All inclusive odbiera chęć do korzystania z lokalnych knajpek i specjałów.

Pilot – najczęściej z kraju, z którego pochodzą turyści, też jest gościem w danym miejscu. I... lokalnym przewodnikom często nie daje dojść do głosu, pokazując świat według własnej wiedzy i wyobrażeń. W efekcie funkcjonują dwa światy – realny i turystyczny. Decydując się na masową turystykę zawsze wybieramy ten drugi. To on, a nie pojedynczy turyści, ma wrogie i agresywne oblicze.

Zadeptany raj

Setki tysięcy ludzi docierających do najdalszych, niegdyś dziewiczych zakątków globu zmieniają je bezpowrotnie. Małeńkie greckie wyspy po sezonie wyludniają się, bo racją ich bytu jest turystyka; afrykańską sawannę dzielą płoty przeciwnające szlaki wędrowek zwierząt, by za nimi powstały hotele, z których wygodnie można będzie podglądać to, co jeszcze zostanie z dzikiej natury. Turyści rozdeptują lodowce, zamieniają tradycyjne wioski w gwarne kurorty.

Już wiadomo, że turystyka generuje zagrożenia dla ludzi, zwierząt i roślin. Ścieki, śmieci, drogi, samochody. Ale także traktowanie „tubylców” jako elementu folkloru. Zapamiętałam na całe życie młodego przewodnika z wioski plemienia Betsileo w Etiopii, który – zanim wprowadziliśmy turystów do wioski – poprosił, by nie nagabywali dzieci i... nie dawali im pieniędzy czy cukierków. – Jak byś zareagował, gdyby ktoś twojemu dziecku wciskał dolary i słodycze? Jasne, że dzieciaki chcą ale... pomóżcie nam je wychowywać tak jak chcielibyście, żeby wychowywane były wasze dzieci. Jak macie słodycze, dajcie je rodzicom, nam bardziej od cukierków przydałyby się zeszyty, długopisy, pasta do zębów i mydło – tłumaczył.

W Goa w Indiach zakaz fotografowania przy basenie wprowadzono, by... turyści czuli się komfortowo. Mieszkańcy pasjami robili bowiem fotografie przybyszom w kostiumach kąpielowych, bo taki strój dla nich oznacza brak stroju... To specyficzne miejsce, w którym odwróciły się role. Mam je przed oczyma, kiedy widzę wypadających z autokaru turystów, niemal przytykających obiektywy aparatów do twarzy tubylców. Myślę, jak by to było, gdyby tak w polskim mieście zatrzymał się autokar i...

Wakacyjne marzenia są na wyciągnięcie ręki, ale kryją się najczęściej nie tam, gdzie usilnie ich szukamy. Empatia, szacunek i chęć poznawania świata, a nie czynienie go takim, jakim chcielibyśmy go widzieć, to recepta na udane wakacje. ■

KRETA,

WYSPA DŁUGOWIECZNOŚCI



Port i fort wenecki w Heraklionie, Kreta, fot. Anna Lewicka

Witajcie na Krecie – największej spośród greckich wysp, która posiada długą i bogatą historię oraz jedną z najzdrowszych kuchni świata. Słynie z oliwy, pięknych plaż i turkusowego morza.

Anna Lewicka

Na Kretę najlepiej wybrać się od maja do października, a najlepiej poza sezonem turystycznym, kiedy będziemy mogli podziwiać piękne krajobrazy, raczyć się kąpielami słonecznymi lub morskimi bez tłumów wokół nas. Wyspa posiada dwa duże lotniska, co ułatwia zakup stosunkowo niedrogich biletów lotniczych. Dwa tygodnie to wystarczający czas, aby zobaczyć najważniejsze miejsca na wyspie oraz odpocząć na plażach w sąsiedztwie błękitnego morza. Ceny wynajęcia samochodu na kilka dni nie są wygórowane, a komfort podróżowania ogromny, jeśli nie lubimy zwiedzać atrakcji turystycznych w grupach.

Gdzie się zatrzymać? Wybór miejsca zależy od naszych potrzeb, osobiście polecam małe hotele lub pensjonaty, w których

serwowane są przede wszystkim dania regionalne, a położone są поблизу głównych miejscowości turystycznych. Ale oczywiście również zwolennicy dużych, luksusowych hoteli będą mieli z czego wybierać.

Naszą podróż rozpoczniemy od stolicy wyspy Heraklionu, gdzie w porcie zobaczymy potężne mury otaczające najstarszą część miasta, kupimy od rybaków gąbki, sprzedawane bezpośrednio z łódek. Stary fort wenecki, który kiedyś bronił wejścia do portu, jest idealnym miejscem do zrobienia pięknych zdjęć. Rynek, kawiarnie i urokliwe uliczki zachwycają, natomiast centrum i pozostałe dzielnice są hałaśliwe i zatłoczone. Główną atrakcją miasta jest Muzeum Archeologiczne, które posiada drugi pod względem wielkości (po Atenach) zbiór pamiątek

antycznych i wykopalisk. W pobliżu miasta znajduje się pałac w Knossos, słynna budowla minojska z mitycznym Labiryntem, w którym mieszkał Minotaur – pół byk, pół człowiek. Jeśli zdecydujemy się na odwiedzenie obu tych miejsc, warto kupić bilet łączony.

Po drodze do kolejnej miejscowości na naszej trasie mijamy liczne starożytne ruiny i Wyżynę Lasithi ze słynnymi wiatrakami, malowniczymi wioskami oraz jaskinią Dikte w której, według mitologii, przyszedł na świat Zeus.

Agios Nikolaos to piękne kolorowe kamienice, restauracje kuszące owocami morza, promenada ciągnąca się nad malowniczą Zatoką Mirabello i znajdujące się w środku miasta niewielkie, ale bardzo głębokie (64 m) jezioro Wulismeni,



Agios Nikolaos, Kreta, fot. Anna Lewicka

w którym brała kąpiele Afrodyta. Tu znajduje się również słynna rzeźba przedstawiająca uprowadzenie Europy przez Zeusa pod postacią byka.

Wybierając się na południe wyspy warto zobaczyć Matalę – wioskę rybacką, która słynie z jaskiń z okresu neolitu, wydrążonych w klifie wokół zatoki, które za czasów rzymskich służyły jako katakumby, a w latach 60. XX wieku były schronieniem hipisów z całego świata. Po obejrzeniu jaskiń możemy opalać się na plaży lub zjeść smaczny obiad w lokalnych restauracjach.



Plaża i Groty w Matali, Kreta, fot. Anna Lewicka

Na północy Krety warte obejrzenia są stare dzielnice Chanii i Rethimnonu z mnóstwem pozostałości po Wenecjanach i Turkach.

Wąwóz Samaria to idealne miejsce dla osób lubiących piesze wędrówki. Jest to najdłuższy suchy wąwóz w Europie, porośnięty rzadkimi gatunkami roślin i jedynym miejscem występowania koziorożca kretańskiego. Czas przejścia przez wąwóz to około sześciu godzin, warto zabrać wygodne obuwie, na trasie są punkty, w których można uzupełnić wodę. Szlak turystyczny rozpoczyna się w miejscu

zwanym Ksiloskalo czyli „drewniane schody” i kończy w miejscowości Ajia Rumi, z której wydostać się można jedynie promem. Trasę można pokonać także w drugą stronę.

Znana z pocztówek laguna Balos wyróżnia się wśród innych miejsc na wyspie białym piaskiem oraz turkusową płytczną, na której można mile spędzić czas z rodziną. Dotrzeć możemy tutaj statkiem, który najpierw dopływa do wyspy Gramvousa, gdzie można odwiedzić wenecką twierdzę z XV wieku. Następnym punktem podróży jest słynna laguna. Można próbować dotrzeć autem, ale trasa prowadzi kilka kilometrów szutrową drogą do parkingu, z którego do samej laguny jest jeszcze pół godziny drogi na piechotę.

Dla osób lubiących słodkie lenistwo plaża Elafonisi na południowo-zachodnim skraju wyspy jest idealnym miejscem. To chyba jedna z najpiękniejszych plaż na świecie, pokryta różowym piaskiem, widok jak z bajki.



Ryby i owoce morza, Kreta, fot. Anna Lewicka

Kuchnia kretańska należy do najzdrowszych na świecie. Opiera się na produktach sezonowych, dostępnych w okolicy. Mięso i ryby najczęściej są grillowane i duszone. Prawie do wszystkich posiłków podaje się warzywa, zioła, sery i oliwę. Na stołach w lokalnych tawernach króluje sałatka horiatiki (wiejska) w Polsce znana jako „grecka”, saganaki z krewetkami lub małżami, dakos, dolmades, faszerowane kwiaty cukinii, souvlaki, kalitsounia, jagnięcina lub grillowane ryby. Do chleba i oliwy doskonale pasuje tzatziki, fava lub taramosalata. Na deser bougatsa, czyli ciasto filo wypełnione serem mizithra. ■

KRYMINAŁ, CZYLI LOGIKA, NAMIĘTNOŚĆ I MUZYKA

Przeraża mnie moda na pisanie i czytanie kryminałów. Nie rozumiem fascynacji zbrodnią i umysłem mordercy, ale... paradoksalnie kryminał może stać się najlepszym początkiem przygody z muzyką. A jeżeli jeszcze tłem jest Gdańsk...

Anna Schwerin



Zespół Tubicinatores Gedanenses, fot. Ewa Juszczyk-Kowalkowska

W hierarchii użyteczności języków obcych język muzyki klasycznej zdecydowanie przegrywa z praktycznością angielskiego lub chińskiego. Prawdą też jest, że nieznajomość nut czy historii muzyki nie tylko nie przeszkadza w odbiorze żadnej kompozycji, ale i pozwala na wygłaszanie bez skrępowania autorytarnych opinii typu podoba – nie podoba mi się. To skutecznie mrozi rozmowy o sztuce dźwięku, gdyż rozmówca zazwyczaj swoją ignorancję zwala na „stwierdzony już w dzieciństwie” brak słuchu.

Dlatego z przyjemnością wysłuchałam wystąpienia profesora Ryszarda Zimaka – dyrygenta, pedagoga i byłego rektora Uniwersytetu Muzycznego Fryderyka Chopina w Warszawie, podczas konferencji naukowej „Muzyka w rozwoju słuchowym człowieka” w ramach V Międzynarodowego Festiwalu Muzycznego Dzieci, Młodzieży i Dorosłych z Zaburzeniami Słuchu „Ślimakowe Rytmu”.

Profesor Zimak zwrócił uwagę, jak szkodliwe może być rzucone niefrasobliwie stwierdzenie „o braku słuchu muzycznego” dziecka, które jednorazowo nie potrafiło prawidłowo powtórzyć dźwięku zagranej na fortepianie. Taka pseudo diagnoza może całkowicie zniechęcić je do podejmowania prób poznania muzyki. Wskazał też, że zawodowi muzycy nad rozwojem swojego

słuchu muzycznego pracują latami w systemie szkolnictwa artystycznego, uzyskując m.in. umiejętność czytania nut „na sucho”, bez użycia instrumentu i wyłącznie za pomocą wyobraźni dźwiękowej. Pozostali odbiorcy muzyki tego umieć nie muszą.

Z jego wypowiedzi jasno też wynikało, że nie ma żadnych przeciwwskazań ani bariery wieku, aby rozpocząć edukację muzyczną. Prezentowane również podczas sesji symulacje odbioru muzyki przez osoby słyszące i pacjentów z wszczepionymi implantami udowodniły, że my, zdrowi nie zastanawiamy się nad otaczającą nas sumą rozmaitych dźwięków i że nie potrafimy sobie wyobrazić nagłej utraty tego bogactwa.

Dróg do odkrycia głębi świata muzyki jest wiele, a jedną z nich mogą być kryminały napisane przez muzyków. Na początek proponuję lekturę „Kompozytora” Sławomira Górczyńskiego, z wykształcenia skrzypka, obecnie grającego na altówce w orkiestrze w Joensuu w Finlandii i „Fałszywą nutę” Izabeli Żukowskiej, muzykologa i dziennikarki Polskiego Radia. Obie pozycje łączy problem kradzieży cudzych kompozycji i robienia na ich podstawie międzynarodowych karier. Są zbrodnie, namiętności, brutalność artystycznego świata, akcja rozciągnięta na kilka stuleci i geograficzna wielość miejsc akcji, ale też żelazna logika przeprowadzenia tematu literackiego, podobna muzycznej strukturze kompozycji zapisanej w partyturze.

Polecam również do wglądu partytury używane przez dyrygentów, którzy przygotowując utwór do wykonania nierazkiedy swoje uwagi nanoszą na papier różnymi kolorami, tworząc nowy układ graficzny kompozycji oraz uwypuklają matematyczną budowę utworu. Ale uwaga – wprawne oko może „ukraść” interpretację, więc dyrygenci zazdrośnie strzegą swych partytur. Pozostają nam zatem partytury prezentowane w muzeach.

Bohaterowie muzycznych kryminałów są postaciami fikcyjnymi, ale ich życie toczy się w konkretnych czasach, miastach i salach koncertowych. Tę dbałość o szczegóły odnajdujemy zwłaszcza w „Fałszywej nucie”, której trzon akcji rozgrywa się w Gdańsku. Bohater – holenderski XVII-wieczny lutnista Florinus de Groot z Lejdy przybywa do miasta nad Motławą, aby spotkać swoje przeznaczenie. Przywitała go Turmmusik – Muzyka Wież, której możemy posłuchać i dziś w wykonaniu zespołu Tubicinatores Gedanenses oraz Moniki Kaźmierczak – carillonistki kościoła Św. Katarzyny (www.tubicinatoresgedanenses.com). ■



Liczymy na hojność darczyńców!

Tak, jak dotychczas, dzięki Wam wspieramy działaczy opozycji ulicznej, którzy z racji swojej aktywności znaleźli się w trudnej sytuacji materialnej. Angażujemy się w działalność edukacyjną przed nadchodzącymi wyborami. Wraz z innymi organizacjami budujemy postawy obywatelskie, profrekwencyjne.

Zachęcamy do zasiadania w komisjach wyborczych, do pełnienia roli mężów zaufania, by zapobiec fałszerstwom. Konsolidujemy też środowiska opozycyjne w całym kraju.

Organizujemy debaty konstytucyjne z udziałem najlepszych ekspertów. Obnażamy populistyczny i autorytarny charakter władzy, jej kłamstwa, fatalne decyzje i złe intencje. Przekonujemy nieprzekonanych, solidaryzujemy się z najstarszymi i najbardziej poszkodowanymi przez „dobrą zmianę”.

Liczymy na Wasze wsparcie. Cenna będzie każda złotówka wpłacona na nasz

wspólny cel: przywrócenie w naszym kraju zasad demokratycznych i rządów prawa!

Stowarzyszenie Wolność Równość Demokracja
BZ WBK – 18 1090 1014 0000 0001 3646 7260
tytuł wpłaty – darowizna na cele statutowe



Mateusz Kijowski Piotr Surmaczyński
BUNTOWNIK

MATEUSZ KIJOWSKI
PIOTR SURMACZYŃSKI



BUNTOWNIK
ROZMOWY NIEKONTROLOWANE

Przeczytałem ten dwugłos z wielkim zaciekawieniem, ale też z pewnego typu wzruszeniem, dlatego że miałem takie wrażenie, jakby to była rozmowa dwóch moich młodszych braci.

Mianowicie, miałem takie odczucie, że ten system wartości, który był mi bliski przez całe długie lata od 1968 roku, towarzyszył mi w KOR-ze, to była chyba wspólna aksjologia całego środowiska, że podobnie reagował i Heniek Wujec, i Janek Lityński, i Konrad Bieliński, i oczywiście Jacek Kuroń, że ja tu nagle z zaskoczeniem i ze wzruszeniem znalazłem dwóch ludzi innej generacji i w innej sytuacji; dla mnie to było niesłychanie ważne świadectwo...

Adam Michnik



Książkę można kupić na stronie
www.buntownik.eu

DRUKARNIA

FOLDRUK FOLION SP.J.

ul. Poezji 19, 04-994 Warszawa

e-mail: adam@foldruk.pl

www.foldruk.pl

tel. (+48) 22 872 00 54

tel./fax: (+48) 22 872 05 73

tel. kom.: 0 502 223 534



Świadczymy usługi w zakresie druku offsetowego, sitowego oraz wielkoformatowego. Posiadamy również własną introligatornię.

Oferujemy kompleksową obsługę firm w materiały POS.

Swoim Klientom oferujemy szeroką ofertę usług, wieloletnie doświadczenie oraz wysoką jakość produktów.

Drukujemy:

- broszury
- foldery
- katalogi
- plakaty
- opakowania
- teczki
- materiały POS
- wizytówki
- papiery firmowe

